Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 1 zł — 8 stron | Warszawa, 24 sierpnia 1952 r. | Nr 34 (126) Rok III

Oczy, które będą pamiętać

Nie wiem ile ma lat, czy nazywa się Kir-Czo-Sun czy też Tem-Czoi-San, nie wiem kim są (może byli?) jego rodzice, czy chodził do szkoły i jakie miał stopnie. Nie wiem jaką barwę zebrał w swych oczach — czy miał oczy czarne czy piwne. Czy płakał wtedy? Kiedy? Kiedy został poparzony wybuchem bomby napalmowej zrzuconej przez amerykański samolot na Koreę. Stary temat? Bestialstwo imperialistów, eksterminacja ludności cywilnej Korei? Nieprawda.

Gdy oglądam jego zdjęcia zamieszczone w dzienniku, mój sąsiad z ławki w Parku Jordana zagląda mi przez ramię.

— Panie, to już przesada. Takich fotografii nie wolno drukować. To jest obrzydliwe, to jest no... naturalizm.

Nie odpowiadam. Wskazuję palcem podpis pod fotografią. „...został zeszpecony i nie będzie mógł zamykać powiek." Sąsiad z ławki w Parku Jordana milknie.

Oto jest prawdziwa „wojna nerwów", taka, o jakiej marzył jej inicjator, generał Clark. Dziecko koreańskie nigdy już nie zamknie powiekami swych przerażonych oczu. Nie wiem, może nie będzie nigdy sypiać, a może będzie spać z otwartymi oczami jak królik. Wybacz mi, Czytelniku, ten „drastyczny" ton mojej wypowiedzi, ale sam niedawno przestałem być dzieckiem i żyję w kraju, gdzie mnie nie bombardują i zasypiając przymykam powieki.

Wielu nas jest bardzo jeszcze młodych i ze spokojem pochylamy się nad motorem traktora i nad książką, ze spokojem wspinamy się na rusztowania Nowej Huty i MDM-u nie bojąc się, że będziemy musieli zeskoczyć i schronić się przed samolotem. Tak właśnie myślałem stojąc na trzecim piętrze rusztowania jednego z domów Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej i podziwiając piękną robotę kamieniarską moich kolegów — rzeźbiarzy. Innego dnia zobaczyli oni może dzieci idące parami przez nowe, dla nich budowane, ulice. (Tak, dzieci otwierają szeroko oczy i usta, milczą i wskazują palcami: — O, latarnia! — O, zegar ścienny! — O, jakie wysokie! — Ale milczą). Szły parami dzieci inżynierów — projektodawców MDM-u, ślusarzy, budowniczych Metra, nauczycieli, piekarzy i poetów. U nas poeci piszą wiersze o swych synach, dobierają im dumne imiona, cieszą się ich snem i zabawą, piszą, że ich dziecko jest „małym posłańcem pogody". A tam?

Tam jest chłopczyk, który nie będzie mógł zamykać powiek, tam są naloty (Phenian: 11 lipca, 12 lipca, 4 sierpnia, 10 sierpnia), tam jest Kożedo, tam agenci „United Press", generał Van Fleet oświadcza, że „stosuje ucisk militarny celem przyśpieszenia rokowań". Czy to poparzone bombą napalmową dziecko brało udział w rokowaniach? Czy to jego rodacy — wojskowi i politycy — zrywali posiedzenia, opuszczali ostentacyjnie salę konferencyjną i jednostronnie ogłaszali przerwy w rokowaniach? Nie, nie oni.

Myślisz, być może, Czytelniku, że to dość łatwy środek polegający na przeciwstawieniu — „u nich i u nas". Nie łatwy. To środek jedyny. Nas nic nie łączy z mordercami dzieci. Dlatego muszą być ostre przeciwstawienia — u nich — u nas. Dlatego nasi poeci nie tylko piszą wiersze o swoich synach i cieszą się ich pięknym i mądrym dorzewaniem, ale m u s z ą pisać wiersze o synach Koreańczyków, którzy poszli walczyć.

— Panie — mój sąsiad porusza się niespokojnie i nie odrywając wzroku od gazety przymyka oczy — co oni wyprawiają. To straszne, co?

— Straszne. Takie rzeczy się pamięta.

Ten chłopczyk koreański będzie stale patrzał, generale Van Fleet. Nawet przez sen.

Leszek Herdegen

ANDRZEJ WRÓBLEWSKI

NOWE DOMY, NOWI LUDZIE



Gdy czerwony sygnał na rogu Wilczej zamykał przejazd — motorniczy wyciągał tabliczkę z rozkładem jazdy i spoglądał na wielki zegar mozaikowy, zawieszony wysoko na szczycie węgła gmachu od Wilczej i sprawdzał czas. Rozkład jazdy był tylko pretekstem. Jako człowiek rzeczowy chciał mieć usprawiedliwienie wobec siebie samego dla swojej dziecinnej radości. Cieszył się, gdy zegar wybijał akurat godziny.

Stary łapał się zresztą na tym, że ciągle jeszcze ten nowy kawałek ulicy jest dla niego jakby świąteczny. Nie zżył się z nim jeszcze, nie przywykł do niego. Ani do pewnej wystawności murów kamieniem wykładanych, ani do ogromnych wystaw sklepowych, ani do tego morza światła. A przede wszystkim, że to tak od razu, z dnia na dzień nowa ulica i nowy plac...

Dwa lata temu zaczynali. 1 sierpnia 1950 przyszli na budowę pierwsi ludzie rozbierać mury. Potem pierwsze kopaczki i pierwsze spychacze. Zaczęły znikać stare wypalone mury znajomych kamienic. W zeszłym roku wprowadzili się pierwsi lokatorzy do pierwszych wykończonych bloków. Ale to minęło jakoś bez większego wrażenia. Bo nowe budynki utonęły w budowie ginęły wśród rusztowań i starych nierozebranych jeszcze murów. Aż tu po dwu latach — wszystko gotowe. Nie zapomniano o żadnym szczególe — są słupy ogłoszeniowe, są przystanki tramwajowe, są balustrady...

Co tu dużo gadać — socjalizm inaczej buduje niż kapitalizm. — Stary motorniczy, przypomina sobie, jak to było dawniej. Znał tu przecież każdy zakątek, każdy kamień bez mała 30 lat spędzonych przy korbie to szmat historii całego miasta. Pamięta jak tu dom po domu stawał ciasno obok siebie. Jak domy przeskoczyły przez plac Zbawiciela. Jak znikały niewielkie drewniane chałupinki a na ich miejscu pojawiały się wysokie, sześciopiętrowe luksusowe kamienice od razu z wodą i elektrycznym oświetleniem. Gazowe lampy pozostawiano jeszcze w starych domach, do których się wprowadzało uboższe mieszczaństwo.

Powiadają, że inżynier tyle samo zdziałał dla zdrowia ludzkiego co i lekarz. Że bez inżyniera, który doprowadził wodę filtrowaną do mieszkania, higiena nic nie warta. Ale tę wodę doprowadzono tu dopiero dla bogaczy, dla burżuazji, do tych dużych nowych kamienic. Na przedmieściach wody nie było, ani kanału. ani światła. A powietrze zatruwały tam śmietniki i rynsztoki...

„...otrzymaliśmy w spadku miasto, w którym mieszkania robotnicze zostały zepchnięte na tereny najsłabiej uzbrojone, nie posiadające kanalizacji, wody, światła. komunikacji..." — powiedział Prezydent Bierut na I Warszawskiej Konferencji PZPR w lipcu 1949, omawiającej sześcioletni plan odbudowy stolicy.

*

Marszałkowska powstała u schyłku Rzeczypospolitej szlacheckiej jako główna ulica nowego przedmieścia mieszkaniowego Bielino. U wezgłowia jej stała karczma, gdzie można było dostać piwo z browaru Bielińskich. i pałac pana marszałna Bielińskiego, gdzie rodziły się ambitne projekty regulacyjne, niepozbawione nadziei na korzystną parcelację gruntów leżących przy drodze. Z brzydkiej prostej drogi, biegnącej między polami jurydyki Bielino chciał marszałek zrobić ulicę. Stają więc na drodze bielińskiej skromne domostwa mieszczańskie i nieliczne jeszcze pałacyki magnackie.

Przełamywanie ustroju feudalnego, rozwój przemysłu i wzmocnienie mieszczaństwa zmieniają funkcje ulicy. Zamienia się ona w dzielnicę fabryk i kamienic. Pałac marszałka Bielińskiego przechodzi w ręce jego spadkobierców — bankierów magnackich: Henryka Łubieńskiego, dyrektora Banku Polskiego i Tomasza, b. generała napoleońskiego, dyrektora domu bankierskiego „Bracia Łubieńscy i S-ka".

Okres rozwoju wielkokapitalistycznego, druga połowa ub. wieku przynosi nowe przeobrażenia ulicy. W stronę Marszałkowskiej przesuwa się punkt ciężkości miasta. Peryferyjna ongi ulica zamienia się w śródmiejską magistralę Warszawy. Na miejscu gdzie jeszcze niedawno badylarze trzymali sady i gdzie w 1878 r. mieszkał ślusarz od Lilpopa, Ludwik Waryński, organizując u siebie zebrania ludzi Wielkiego Proletariatu (gdzieś między Wilczą a Hożą, a więc tam gdzie się dziś zaczyna MDM) — stają wielkie czynszowe kamienice z olbrzymimi mieszkaniami, eleganckimi lokalami rozrywkowymi, pełnymi powagi biurami handlowymi. Renta gruntowa rośnie niepohamowanie. Natchnienie idzie niezmiennie z pałacu marszałka Bielińskiego, który zajmuje teraz bankier Jan Bloch, król kolei.

Charakter ulicy upodabnia się coraz bardziej do śródmiejskich arterii metropolii świata kapitalistycznego.

„Każdego, który pierwszy raz do Warszawy zawita — pisze w zbiorku „Towarzystwo Warszawskie" pan Antoni Zaleski w 1885 — uderza przede wszystkim jej ruchliwość i ożywienie ulic, przeciągające się aż do późnej nocy. Pod tym względem mamy słuszną pretensję do rangi stolicy i po Paryżu i Londynie mało które z największych miast w Europie może naszemu Syreniemu grodowi sprostać... Warunki życia kosztowne, to prawda, za to wcale wytworne i dążące do komfortu. Tak dobrze i pięknie budowanych domów jak w Warszawie, nie w każdym większym znajdziesz mieście, mieszkania obszerne, czyste, wygodne, a cena ich nie tak znowu wygórowana, jak to zwykła głosić fama i jakby sądzić można z ustawicznych narzekań Kuryerów na „kamieniczników" i ich wyzysk".

Ale równocześnie szlachetny obrońca szkalowanych kamieniczników musiał przyznać, że

„...nie ma dziś miasta w Europie, któreby jak Warszawa raziło taką ilością wszelkiego rodzaju żebraków, widokiem tylu wynędzniałych, odartych i głodnych."

Bo Warszawa krzepnącego kapitalizmu, gdzie obowiązywało pozytywistyczne zawołanie „bogacąc siebie — bogacimy naród" spychała z równą bezwzględnością i pod tymi samymi pozorami co burżuazja zachodu klasę robotniczą na przedmieścia, zgodnie ze stwierdzeniem Engelsa:

„...najbardziej skandaliczne ulice i uliczki znikają ku wielkiej własnej chwale burżuazji, ale natychmiast znowu powstają gdzie indziej i częstokroć nawet w najbliższym sąsiedztwie".

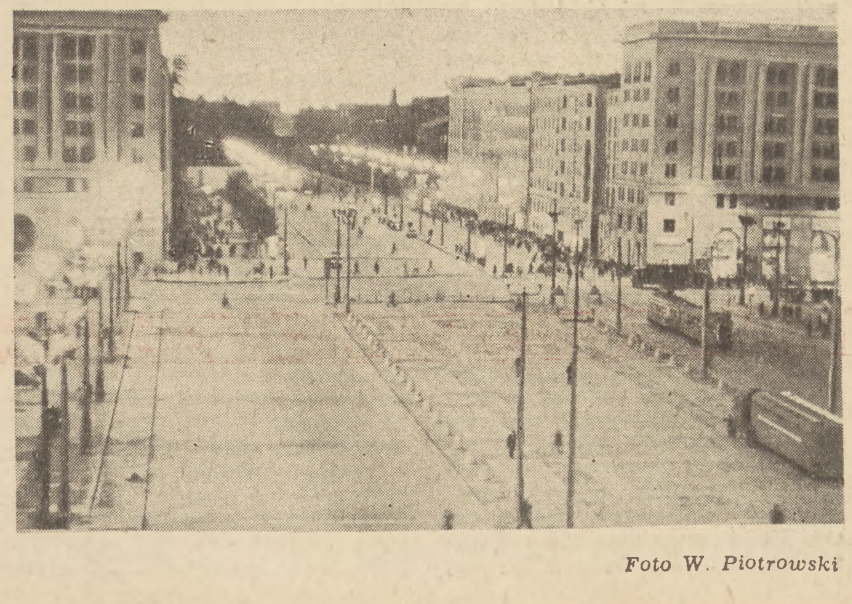


Foto W. Piotrowski

Tak Marszałkowska zamieniła się w wytworną centralną ulicę miasta. Za to w suterenach i facjatach, zajmowanych przez proletariat, skupienie ludności jest dwa razy większe niż we wszelkich innych lokalach. Za to rośnie komorne przeludnionych mieszkań. (Średnie komorne miesięcznie za izbę — jak wynika z ankiety z 1891 r. — wynosi 6—7 rubli przy zarobkach miesięcznych robotnika 15—20 rb.). W ciągu jednego tylko roku kamienicznicy warszawscy zarobili na czysto na komornym 28 milionów rubli (według obliczeń Ministerstwa Finansów, w rzeczywistości więcej). Za tę cenę opłaciło się wystawić luksusową kamienicę dla burżuazji.

Druga Rzeczpospolita wyostrzyła jeszcze te przeciwieństwa.

„Przed „Italię" zajeżdżały co chwila auta, wyrzucając panów i panie ze świata jak bajka. Wszystkie kina, teatry, lokale były pełne. Wszędzie rozbrzmiewała muzyka. Rozchodził się zapach perfum, wina i dobrego jadła. Gdzieś się zapodziała pod domy, na dno suteren, wszelka bieda i nieludzki trud."

pisze Newerly w „Pamiątce z Celulozy" o śródmieściu. Za to w sąsiedztwie, w dzielnicy biedy — *„kamieniczka była ślepa, bez elektryczności, z rozpaćkanym przy bramie śmietnikiem i wspólnym dla wszystkich wychodkiem... Szczęsny wynajmował (tu) ciupkę: cztery kroki na trzy".*

Pisarze okresu dwudziestolecia międzywojennego rzadko zaglądają do takich wnętrz. Częściej — instruktor, który zbiera materiały dla ankiety Instytutu Gospodarstwa Społecznego. „Samo mieszkanie — pisze instruktor uzupełniając arkusz ankietowy — jest tak małe, że prócz warsztatu mieści się w niem tylko 2 łóżka, 2 stołki i kilka mniejszych sprzętów. W mieszkaniu nie można się prawie poruszyć: jest ciasne, ciemne i niezdrowe". „Higiena i zdrowotność niebardzo są przestrzegane, bo jeżeli w mieszkaniu mieści się cały dzień 14 ludzi, to higieny być nie może". Według ankiety 28,7 proc. zbadanych sypia po 3 i więcej osób na jednym łóżku. Stołków, ani krzeseł niema. Siedzi się na łóżkach.

*

Nie wiem, czy tok myśli starego motorniczego był dosłownie taki sam, ale z pewnością był podobny. Bo stary towarzysz nie tylko wiedział o tym z literatury i sprawozdań komisji ankietowych. Sam był bohaterem tych opisów. Znał to z własnych doświadczeń. Dla niego słowa z wiersza Ważyka:

„Ale wpierw się odemknie
klucz zaułków, mur pęknie
lud wejdzie do śródmieścia."

były czymś głęboko przeżytym. To nie było pojęcie abstrakcyjne. Wpierw musiał mur pęknąć, zanim on czy jego sąsiad z Bródna, ślusarz z warsztatów kolejowych Andrzej Racz mogli wejść do śródmieścia. Do śródmieścia, które oznacza dla nich nie tylko nową skalę urbanistyczną i nową architekturę, ale przede wszystkim nowe mieszkania, nowe warunki bytowe, nowe — późne dla niektórych ale dla żadnego za późne.



Foto Kaczkowski

I stąd taki ciepły, serdeczny i bliski stosunek mojego towarzysza tramwajarza do wszystkiego co się tu na Placu Konstytucji działo i dzieje.

Ani mój towarzysz tramwajarz, ani stary Andrzej Racz, ślusarz kolejowy z Warsztatów Warszawa — Wschodnia nie mają do tego co oglądamy razem na MDM stosunku historyka. Ta ulica bez pamiątek, gdzie nieliczne ciekawsze architektonicznie budynki musiały wskutek wzrostu renty ustępować miejsca nowym, coraz brzydszym a bardziej dochodowym — nie stworzyła architektom żadnej możliwości nawiązania do przeszłości. Wszystko co tu wybudowano reprezentuje próbę nowej skali, nowej architektury. I dlatego chodzimy po tym nowym tworze i próbujemy przyswoić sobie partiami, bo niesposób naraz, ten czy inny szczegół, jedno czy drugie sklepienie, sgrafitto na budynku, podcienia, czy rzeźby na gzymsie bloku, rysujące się na tle nieba. Z radością spoczywa oko na łuku portalu, wykładanego turkusową ceramiką, wiążącego blok między Wilczą a Piękną. Patrzymy na czoło Placu Konstytucji, gdzie na obydwu rogach Pięknej mieszczą się w parterach z jednej strony kawiarnia (ten „Pomianowski" odsunięty od rogu o ileś tam metrów), z drugiej restauracja. Partery z ogromnymi szybami wielkich okien wystawowych tworzą mocne cokoły, z których wyrastają kolumny smukłe, śmigłe, wysokie, klasycznie zwieńczone. I zaraz odwracamy się z niepokojem — czy też ten blok pomiędzy dawnym biegiem Marszałkowskiej a jej nowym rozwidleniem nie jest za niski?

Patrzymy na kandelabry, wywołujące tyle sprzecznych uczuć, ale za chwilę, gdy zaświecą się latarnie i morze świateł zalewa cały plac — dajemy się uwieść jasnością, przestrzenią, przestronnością.

Patrzymy na orgię kamienia, którym wykładane są bloki i szukamy czegoś miękkiego dla oka — fontanny, o której słyszeliśmy, że miała być na środku, czy miękkiego zielonego dywanu. Warszawiacy przyswajają sobie tę nową dzielnicę i zaczynają na jej tle widzieć przyszłość, dalszy ciąg Marszałkowskiej, nowe place, które wzdłuż jej biegu powstaną; ludzie zaczynają to widzieć, rozumieć i określać swój stosunek do nowych założeń. Warszawiacy zaczynają smakować w tej swojej nowej architekturze i nowej urbanistyce.

— A to? — ciągnie mnie stary tramwajarz. Wiecie co tu będzie? Stacja metro! — dodaje triumfująco.

— Następca?

— A tak! — mówi stary z ożywieniem. — Popatrzcie na ten tramwaj. Przecież on wygląda tu zupełnie obco. Jakby go kto pod ścianę zepchnął. Jak stary zniszczony mebel, kanapa, która stoi jeszcze, ale sprężyny z niej już wyłażą i siedzieć na niej niewygodnie. Przyjdzie metro...

Stary z ożywieniem zaglądał do wnętrz sklepowych.

— Widzicie, w takim sklepie to człowiek inaczej zupełnie się zachowuje. I obuwie wytrze i inaczej będzie się odzywał do sklepowej To zmienia człowieka. I dlatego, jak będziecie pisać, powiedzcie, że trzeba koniecznie w tych sklepach co dzień podłogi froterować, żeby zawsze było czysto i przyzwoicie, bo to człowieka uczy.

*

Racz mieszka na trzecim piętrze w bloku na Pięknej, który ma na gzymsie takie trzy grupy rzeźb. Mieszka już od roku Był jednym z pierwszych mieszkańców MDM.

Stary kolejarz mieszkał przez 17 lat na Bródnie, na Zagranicznej ulicy. To już doprawdy było za granicą wszystkiego. Za granicą wody i kanału. Za granicami komunikacji. Dobrze, że światło elektryczne było. (Tyle zdobyczy cywilizacji dla proletariatu — mówi Racz uśmiechając się). Naród tam mieszkał twardy — kolejarze. Nie poza warsztatami kolejowymi i starymi, drewnianymi w większości domami czynszowymi, w których oni sami mieszkali; — rzadko zaglądał też w te strony ktoś obcy. Niechętnie tam przychodzili, bo takiej egzotyki nieciekawi byli. A Bródno miało „złą" reputację. Tam lepiej nie wchodzić. Wiadomo było, że na Bródnie partia rządzi. — Więc też nie wchodzili ani z wodą, ani z gazem, ani z kanalizacją.

Po 17 latach zamieszkiwania na Zagranicznej, gdy rodzina się powiększyła i dzieci przybyło — dla Racza miejsca tam nie stało. Za ciasno było w starym mieszkaniu, a na większe pozwolić sobie nie mógł. Nie trzeba było zamierzeń urbanistycznych, żeby zepchnąć Racza dalej, poza miasto. Racza zepchnął kapitalizm. Przeprowadził się do Piekiełka, na linii kolejki do Jabłonnej Gdy wojna wybuchła, jedna córka już za mąż wyszła i syn wyszedł z domu — Racz wrócił na Zagraniczną. Musiał być bliżej miasta. Robota. Towarzysze.

W powstanie wszystko się spaliło, rodzina rozbita, stary Andrzej Racz został wywieziony do Niemiec.

Po wyzwoleniu wszyscy członkowie rodziny odnaleźli się ocaleni w jedynym uratowanym mieszkaniu — na Wileńskiej 23 u jednej z córek. W pokoju z kuchenką mieszkali wtedy zięć z córką i wnukiem, druga córka z zięciem ślusarzem z Mostostalu, trzecia — panna jeszcze, no i starzy. (Stara Raczowa opowiada o tym z łagodnym uśmiechem: „Ciasno było, 9 osób na 30 metrach powierzchni".

22 lipca 1951 r. Andrzej Racz wielokrotny przodownik pracy warsztatów kolejowych Warszawa—Wschodnia, długoletni pracownik kolei (pracuje od 1914 r.) dostał klucze nowego mieszkania. Na Wi-

leńskiej został zięć z „Orbisu" z rodziną. Stary zabrał z sobą córkę pannę i drugą z zięciem z Mostostalu.

Ta relacja brzmi krótko i nie czuje się w niej nic niezwykłego. Ale stary Racz rozumie to jako wyróżnienie. Podwójne. Przede wszystkim, że to Ludowa Polska dała wyraz uznaniu dla jego wieloletniej pracy zawodowej — pilnej, wytrwałej, słabo płatnej, odpowiedzialnej. I że przydzielono mu mieszkanie tam, gdzie mają mieszkać najlepsi, przodownicy, ci co świecą przykładem i wychowują, w śródmieściu nowej, socjalistycznej Warszawy, dokąd dawniej nie miał nawet ochoty zajrzeć, jak do obcego i wrogiego.

Na starym widać lata pracy na kolei, tym najbardziej społecznym aparacie usług. Racz wie, że jest tylko śrubką w ogromnej maszynie. Wie, że ta śrubka jest potrzebna, ważna. Ale równocześnie wie, że sam nic nie zrobi. Że po to, aby naprawić parowóz musi mieć co najmniej swoją brygadę. Racz nie mówi: — „jaki ja ważny, beze mnie nic nie zrobicie". Racz mówi: „chłopcy, musimy pociągnąć parowóz nie może wypaść z grafiku, parowóz musi dziś w nocy odejść, mamy za mało parowozów, aby dopuścić do przestoju parowozu".

— I to tak ze wszystkim — mówi stary partyjnik Racz. — Musimy ludzi nauczyć. To nie jest tylko sprawa pracy. To również sprawa mieszkania. Chodzi o wychowanie ludzi. Idzie o to, aby z nich zdjąć starą skórę w którą obrośli. I dlatego ważne jest kto tu mieszka, jak mieszka i co robi po pracy.

Rozglądam się po umeblowaniu. Jest ubogie. W rogu tapczan, na środku pokoju okrągły stół i krzesła. Racz zrozumiał moje spojrzenie.

— Mnie wiele nie trzeba. Zresztą — nie mogę sobie pozwolić. Zarabiam 700 złotych na miesiąc i muszę wpierw spłacić to, co już wziąłem. Potem się dokupi. Ale za to moja córka i zięć już lepiej mieszkają — otwiera drzwi do ich pokoju — a jak córka pójdzie teraz do roboty, a mały jej do przedszkola — to im będzie jeszcze lżej i lepiej. A z tego małego — pokazuje na małego, który akurat wstawał z poobiedniego snu — wyrośnie już zupełnie nowy człowiek, który to stare znać będzie z opowiadań dziadka.

Ja na przykład na początku mojej kariery, jako pomocnik maszynisty, poparzyłem sobie oczy. Groziła mi ślepota. Oliwa bluznęła na mnie z gorącego kotła. — Racz pokazuje czerwone jeszcze powieki bez rzęs, zżartych przez lekarstwa. — Nie mogę tylko stale czytać, chętnie bym radio sobie kupił. Ale jeszcze nie mogę. Nie będę odnajmował pokoju, żeby sobie radio kupić.

I Racz opowiada dalej o takim jednym, również mieszkańcu tego bloku, który szybko skończył z przodownictwem i teraz zajmuje się...

Poszedłem szukać tego, co to „wysiadł" ze współzawodnictwa.

*

Czy pamiętacie „Kusię" i Kamila Kuranta z „Dwudziestu lat życia" Uniłowskiego? — Mój rozmówca to właśnie połączenie Kusi z Kamilem. Małe sprytne oczy wyglądają na mnie przez szpareczki. Zresztą mój rozmówca też „rodak" z Solca. Jest młody, ma dziś 30 lat. Gdy miał 18 lat — Niemcy wywieźli go do robót. A przedtem skończył tylko 6 klas. „Pan rozumie, koledzy ciągnęli do czego innego, trudno było w takich warunkach skończyć szkołę". Zupełnie jak u Uniłowskiego. Ta sama aura, ta sama atmosfera. Ale lubi muzykę — twierdzi. Jak był mały grał na skrzypcach. Nawet dziś chętnie gra, ale nie ma skrzypiec. Ach, żeby tak mieć fortepian — mówi z westchnieniem. Trudno się zorientować czy to prawdziwe, czy sprytne komediantwo.

— A harmonia? — podsuwam.

Miał harmonię. Gdy wracał do kraju przez południowe Niemcy to kupił wspaniałą harmonię koncertową na 180 basów. Ale harmonia utonęła. Wspaniała harmonia. Dziś dostałby za nią 6000 zł. Jak nic. Ale utonęła. Raz na statku, na Wiśle, dał ją jednemu, bo chciał pograć. Tamten był pijany, przechylił się i wpadł do wody razem z hramonią.

Wszystko brzmi jakoś strasznie nerwowo, chaotycznie i trąci blagą. A czemu się nie uczy, dlaczego nie pójdzie do ogniska muzycznego? Przecież tam są instrumenty, jest opieka nauczycielska. Zawsze pomogą.

— Tak, ale to już nie to co własny instrument — jęczy.

A jak było z przodownictwem? — Wyrabiał 302 proc. normy. No i dostał mieszkanie. Pracował w MDM jako betoniarz. Pracował przeważnie nocą i dobrze zarabiał, 850 zł na dwa tygodnie wyciągał. Ale to przestało go interesować. Przerzucił się do innego działu pracy, poszedł na roboty wykończeniowe. A potem na ciesielskie... Nie mówi, że przestał być przodownikiem. Będzie się chyba kłócił, że jest nadal przodownikiem. Ale to wszystko mało go interesuje. „Zobaczy pan, mógłbym jeszcze zabłysnąć, gdyby się tak kto mną zajął!" — Marzenie urasta, ale nie wywołuje pragnienia, chęci, postanowienia. Nic tylko słowa, same słowa, które mają samego siebie uspokoić. A twarz mówi o wczorajszym wyjściu z kolegami, o butelce.

Kusia-Kurant uśmiecha się wąskimi szparkami oczu. Chce mnie przekonać do siebie. Resztka jakiegoś społecznego wstydu — dostał mieszkanie, i nic. Ani przodownik, ani nie gra, ani się uczy.

Dlaczego dostał tak duże mieszkanie? — Dziś trudno dojść. W chwili, kiedy się sprowadzał miał żonę i jedno dziecko. (Teraz ma ich dwoje, drugie ma 4 miesiące.) Dlaczego i po co dostał 3 izby? Miał zamiar sprowadzić tu rodziców żony? — A przecież rodzice żony na wsi, na gospodarstwie. I nowa pokusa łatwego zarobku. Żona jedzie na wieś i oferuje sąsiadom rąbankę, albo cielęcinkę świeżą. A pustawe mieszkanie nie trudno zapełnić. Amatorów na wynajęcie pokoju mnóstwo. I budżet dziurawy łatwo wtedy podreperować. Starczy i na utrzymanie, i na wyjście z kolegami.

A potem po mieście plotka, że na MDM wynajmują mieszkania z wolnej ręki, bo tam drogie komorne. Tymczasem sprawa jest prosta — przypadkowy, jednorazowy przodownik. Za szybki awans, za szybki awans mieszkaniowy. Brak opieki nad człowiekiem. W sumie — źle. Źle i szkodliwie.

*

Rutkowski jest sam w mieszkaniu. Żona i dzieci na wsi, tam, skąd się tu przeprowadził. Rutkowski siedzi przy stole i czyta książkę.

Oczywiście nic w tym dziwnego, przecież gdzieś się rozchodzą te dziesiątki tysięcy nakładu nowych książek, przecież mamy wiele tysięcy nowych czytelników. Rutkowski jest właśnie jednym z nich. Rutkowski jest człowiekiem prostym i świeżym. Jego zawodowe kwalifikacje, jego majstrowanie nie jest wynikiem wysokiej specjalizacji, wysokiego kunsztu opanowania narzędzi i maszyny. Jego znajomości fachowe są prymitywne i proste a potrzeby nieduże. I książka nie jest dla niego czymś codziennym. Nie wrosła w jego potrzeby. Ta książka przyszła do Rutkowskiego z nowym mieszkaniem na MDM. Książka jest częścią jego awansu. Jest wyrazem zmian, jakie w nim samym zaszły. Rutkowski opanowuje trudną sztukę poznawania świata, spraw ogólnych, spraw ludzi. To powolne opanowywanie nowych dziedzin wiedzy, nowych spraw — jest czymś nowym i wielkim co przyszło do Rutkowskiego z socjalizmem.

To jest rola MDM.

Ten zaszczyt, to specjalne miejsce w hierarchii społecznej, wyraża się niekiedy w sposób prosty i zabawny równocześnie.

*

Zaglądam do mieszkania, w którym zamieszkały dwie rodziny, 5 osób. Kozubowski — preser od Szpotańskiego z żoną i synem i Kluczyk od Borkowskich. Trzyizbówka została zgodnie podzielona: mniejszy pokój i służbówkę wziął Kozubowski, dorosły syn mieszka w służbowym pokoju. W dużym pokoju mieszka rodzina Kluczyków.

Pytam żonę Kozubowskiego jak się też jej mieszka na wspólnym gospodarstwie z Kluczykami.

— A no cóż, żyjemy jakoś. Pewnie, że to nie najlepsze. Ale widzi pan, nikt z nas nie ma czasu na jakieś drobne sprawy sąsiedzkie. U nas wszyscy pracują i to w różnych zmianach. U Kluczyków też. Nie wadzimy sobie.

— A gdyby tak zaproponować pani, żeby się przeprowadzić do samodzielnego mieszkania w innej dzielnicy — zgodziłaby się pani?

— Eh, proszę pana, z MDM-u? To już wolę tu na wspólnym gospodarstwie.

Ta prosta odpowiedź gospodyni, robotnicy od Szpotańskiego (bo żona Kozubowskiego też pracuje u Szpotańskiego) świadczy o tym, że stworzył się już swoisty „patriotyzm" MDM-u.

*

To co zostało oddane do użytku 22 lipca 1952 r. nazywa się — *I seria MDM*. Jest to zaledwie 1/8 całego projektu budowy w ciągu Planu 6-letniego. Razem będzie tu mieszkało 45.000 ludzi. Poza wielkimi sklepami i urządzeniami o charakterze społecznym powstaną nowe szkoły, przedszkola, żłobki, kryty basen pływacki, świetlice i kluby.

Na 1 mieszkańca przypadnie w skali perspektywicznej 9 m kw. powierzchni. To za te lata, kiedy stary Andrzej Racz, czy bezdomna w czasie okupacji nauczycielka z Łap, przodownica pracy Łapińska nie mieli gdzie schronić swych głów, za lata poniewierki i kątownictwa, za lata, kiedy mieszkało się coraz gorzej, pomimo że burżuazja mieszkała coraz lepiej i wygodniej. Na tych 9 m. kw. przestrzeni mieszkalnej rodzi się nowy stosunek do tego wszystkiego, co się u nas dzieje. Książka w ręku Rutkowskiego, czy starego Racza, podręcznik techniczny u kandydata na inżyniera Prujszczyka, podręcznik uniwersytecki w rękach nauczycielki Łapińskiej, opanowanie nowego narzędzia w ręku nowego robotnika — to właśnie sprawa nowego mieszkania. W tej randze — MDM jest czymś najwyższym.

Andrzej Wróblewski

STEFAN KOZICKI

N A G A N I A C Z E

I

Taxi!

Stary, rozklekotany „Citröen" nie zatrzymuje się.

— Taxi, Taxi!

Trudno jest wieczorem złapać taksówkę w rozrywkowej dzielnicy Paryża, niedaleko placu Pigalle, gdzie pozują turystom setki prostytutek. Prostytutek ile chcesz — a o taksówkę trudno. Wreszcie jest. Szofer zatrzymuje wóz powoli, taksuje pasażerów uważnym, niechętnym wzrokiem, otwiera drzwiczki, i...

— Panowie Polacy? Czy mogą mi panowie powiedzieć, jak dojść stąd do placu Clichy? — młody człowiek w zniszczonym ubraniu chwyta za drzwiczki wozu w obawie, abyśmy ich nie zatrzasnęli mu przed nosem.

— Siadaj pan. My właśnie w tamtym kierunku. Podwieziemy.

W taksówce długie milczenie. Patrzymy na młodego człowieka tak jak przed chwilą patrzył na nas szofer. Licho wie kto taki. Twarz kostropata, długie włosy z wyraźnymi wpływami mody lwów salonowo - podwórzowych, małe oczka, krzywy, złamany nos. Zaczyna się tradycyjnie:

— Pan dawno we Francji?

— Z miesiąc.

— Co w Polsce słychać?

— Do d...

Przypadkowy towarzysz nie wykazuje zapału do rozwinięcia wygłoszonej przed chwilą tezy. Z innej beczki:

— Pracuje pan gdzie?

— Skądże?! (wyraźnie oburzony, widocznie to go nareszcie „wzięło"). Praca? Też! Trudno o pracę. Z początku — nie powiem, dobrze było, obwozili po knajpach, pokazywali nagie dziwki, (mityguje się. Może nie przystoi taki bezkrytyczny zachwyt dla nagości? Pospiesznie, szorstko kończy)... jak bym czegoś takiego nigdy w łóżku nie widział! (chwila milczenia, która przeciąga się. I nagle głosem pełnym wściekłości). — Teraz do IRO kazali. A tam tylko papierki wydają — (wyciąga, pokazuje, notuję w pamięci nazwisko). — Pytam, gdzie mam mieszkać. A oni — gdzie pan chce, my nikogo nie przymuszamy...

— I co dalej?

— Zmartwienia nie ma. Do wojska pójdę. Amerykańskiego. 400 dolarów miesięcznie dają na ryło.

II

...kiedy zastanawiałem się potem nad spotkaniem w taksówce, dziwiła mnie jego typowość. Zdarzenie, jakby wyjęte bez zmian z broszurki francuskiego agitatora pokoju, rozdział: „Cudzoziemscy faszyści hulają w naszym kraju". Zastanawiałem się i później: włączyć czy nie włączyć do artykułu? Czytelnicy powiedzą — wymyślił sobie. Wówczas przypomniało mi się nazwisko z zaświadczenia IRO. Stanisław Moszkowicz.

Moszkowicz uciekł z Polski, mały faszysta, pionek. Ale szybko rozeznał się w rejonach „wyższej polityki" londyńskiego „rządu", waszyngtońskiego Mikołajczyka czy Rady Politycznej. Mały faszysta, kierując się swoim rozsądkiem i koniecznością walki o byt szybko przemknął przez gąszcz sloganów głoszonych na akademiach i zamiast do świętych emigracyjnych zwrócił się do samego Pana Boga — werbunkowych komisji amerykańskich. Takich jak Moszkowicz było więcej. Toteż Anders ogłosiwszy plan stworzenia „własnej" armii spostrzegł szybko, że staje mu w tym na przeszkodzie Moszkowicz i koledzy, że drobne faszystowskie płotki wolą iść bezpośrednio do celu, omijając panów emigracyjnych generałów nie bez słusznej obawy, aby ci nie obciążyli ich zysków jakimś zarezerwowanym od pośrednictwa procentem. Męty traktują wojnę jak zarobek. Żołd plus dodatek dla specjalistów za fachowe mordowanie wolą dostawać w całości. Stosunkowo niedawno gen. Anders był w Stanach Zjednoczonych.

Wtedy nastąpiło zjawisko najbardziej charakterystyczne dla stosunków panujących w emigracyjnym bagienku. Wszystkie żaby na wyprzodki zaczęły rechotać na jedną nutę, starając się przygłuszyć „konkurencję".

Pierwszy odezwał się Mikołajczyk, spiesząc z zapewnieniem, że dostarczy polskiego mięsa armatniego — bez żadnych warunków.

Zaraz potem „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" doniósł z odcieniem melancholii, że **„pewien generał polski w Londynie"** złożył ofertę utworzenia polskich oddziałów ochotniczych na Koreę.

Wreszcie Bliss Lane, b. ambasador USA w Warszawie, wsławiony szybką wsypą swych związków z podziemiem i jeszcze szybciej odwołany, opracował plan utworzenia w szeregu armii amerykańskiej mieszanego **„korpusu wolności"**, złożonego z faszystów polskich, ukraińskich, czeskich i węgierskich do kupy. Plan Bliss Lane uzgodniony był z Radą Polityczną, grupującą z kolei polskich narodowców, oenerowców, wuenerowców i pepesowców w najlepszej zgodzie.

Poniżający wyścig konkurencyjnych ofert powstał na gruncie przekonania panującego wśród burżuazji polskiej że z chwilą wybuchu wojny w Korei nadeszła właśnie jej chwila, przy czym każda grupa wyobrażała sobie tę chwilę jako **swoją własną.** Na kogo postawi USA? — pytali. Na tego kto zredaguje bardziej odpowiadający amerykańskim planom memoriał — odpowiadali:

Ale wyścig ofert w przetargu na dostarczenie dla USA polskiego mięsa armatniego, w którym jeśli nie pierwsze, to na pewno jedno z pierwszych miejsc zdobyła filadelfijska deklaracja Mikołajczyka domagająca się zastosowania przeciw Polsce **„równie stanowczych środków jak w Korei"** — nastąpił jak na gust Sztabu Amerykańskiego o wiele za późno i był tylko czczym gestem, mimo najlepszych intencji.

Bo Departamentowi Stanu jest o wiele wygodniej manewrować między skłóconymi grupkami, nie zaprzestając jednocześnie werbunku do wojska amerykańskiego.

Od chwili, kiedy nastąpił podły przetarg na polskie mięso armatnie, pojawił się zupełnie oficjalnie w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza" nowy, **stały** dział: Lista polskich strat w Korei.

Owoce z rozgałęzionego drzewa ofert poszczególnych grupek reakcji dojrzały szybko.

III.

W Korei leje się polska krew, a pośrednicy tej brudnej sprawy bawią się wesoło na uroczystościach familijnych specjalnego rodzaju. Na wiosnę 1951 r. **pułkownik** Zdrojewski rozesłał wśród arystokracji rodowej i przemysłowej Francji następujące zawiadomienie:

GENERAŁ ZDROJEWSKI
ma zaszczyt zawiadomić o ślubie swym
z BARONÓWNĄ RONTAU,
który odbył się w Paryżu dnia itd...

Ślub odbył się z wielką paradą i przepychem, pan młody dzwonił orderami a jego teść dolarami, bo trzeba wiedzieć, że baronówna Rontau pochodzi ze znanego rodu bankierskiego. Miłość baronówny z samozwańczym awanturniczym generałem — brzmi to jak tytuł zeszytowej „Co tydzień powieść". Tytuł nie odpowiadający prawdzie, chyba z poprawką zastępującą słowo miłość słowem interes. Interes obopólny. I obopólne wiano. Papa panny młodej daje trochę dolarów; pan młody „kombatantów", to jest członków paramilitarnej, mikołajczykowskiej organizacji ZUPRO, w której sprawuje szefostwo.

O ile mikołajczykowscy „kombatanci" posiadają ścisłe familiarne (i nie familiarne!) związki z bankierami, o tyle NSZ osiągnął na tym samym francuskim terenie znacznie więcej, łącząc się z trustem Wendlów. Zaczęło się od umowy między dowództwem Związku b. Członków Kompanii Wartowniczych a ciężkim przemysłem francuskim. W myśl tej umowy na teren Francji zaczęły przybywać zorganizowane i pozostające pod dowództwem swych oficerów oddziały NSZ, mające chwilowo występować w roli łamistrajków. Oddziały po przybyciu na teren północno-wschodniej Francji zachowały dyscyplinę wojskową, baraki w których zostały umieszczone przemieniły się w prawdziwe koszary, nierzadko miejscowa ludność z odrobiną ciekawości, odrobiną strachu i dużą dozą niechęci mogła oglądać ćwiczenia wojskowe przybyszów.

Wkrótce potem przeniosła się z Niemiec Zachodnich do Paryża sama Centrala Związku.

Wracajmy jednak do Wendlów. Wendlowie stanowią kawałek historii burżuazyjnej Francji i podobnie jak Kruppowie w Niemczech są zasłużonymi akcjonariuszami Międzynarodowego Towarzystwa Handlarzy Śmierci a w szczególności francuskiego oddziału tej firmy — Comité des Forges. Brudne sprawy Wendlów, potentatów francuskiego przemysłu zbrojeniowego i opiekunów polskich faszystowskich organizacji wojskowych są tak frapujące i tak zbliżone do brudnych spraw ich polskich podopiecznych, że należy się z nimi nieco bliżej zapoznać.

Pierwsza wojna światowa: kopalnie i fabryki Wendlów skoncentrowane są w Zagłębiu Briey. Tutaj też mieści się właściwa siedziba Comité des Forges. I o dziwo, choć wojska niemieckie zaraz od początku wojny opanowują Zagłębie i rozpoczynają forsownie je eksploatować, nie spada na nie ani jeden pocisk, ani jedna bomba. (Aby być ścisłym trzeba powiedzieć, że pewien lotnik francuski nazwiskiem Boussotrout zrzucił **jedną** bombę i — został oddany pod sąd). Nad kopalniami i fabrykami Wendlów, pracującymi dla okupanta, czuwał taki duet: z jednej strony delegowany przez rząd Kaisera do kierownictwa okupacją zagłębia R. Roechling, figurujący w roczniku Comité des Forgers z 1914 r. jako administrator wielkiego kombinatu francuskiego Sociétés des Acieres de Longwy, i z drugiej strony — sztab francuski, który raport dotyczący „afery zagłębia Briey" oddał w ręce wysokiego oficera sztabowego, będącego jednocześnie... urzędnikiem Comité des Forges.

Okres między wojnami: Comité des Forges za pośrednictwem kontrolowanych przez siebie fabryk Skody finansuje Hitlera zamierzającego dojść do władzy. Rok 1938. Wendlowie z ramienia Comité des Forges kierują eksportem surowców, niezbędnych do wytwarzania środków wybuchowych do Niemiec — już hitlerowskich. Po wyekspediowaniu 6 milionów ton, G. de Wendel zagadnięty przez pewnego francuskiego dziennikarza w tej sprawie, odpowiedział: **„Uważam, że dobrą wymianę handlową należy robić zawsze".**

Druga wojna światowa: Pan Guy de Wendel jest filarem kolaboracji z hitlerowcami okupującymi Francję. Pismo KPF „Action" opublikowało w roku ubiegłym dokumenty dotyczące tej „współpracy". Między dokumentami znalazło się między innymi pismo wystosowane przez Wendlów do władz hitlerowskich z prośbą o wydanie im przepustek na tereny objęte akcją pacyfikacyjną przeciwko Ruchowi Oporu. **„Konieczne jest to** — piszą Wendlowie w swym liście — **dla pełnej aktywizacji naszego przedsiębiorstwa pracującego na korzyść Wielkiej Rzeszy Niemieckiej".**

Po drugiej wojnie światowej — Wendlowie protegują polskich faszystów. Nie jest to rzecz, z którą Wendlom opłaca się afiszować. Ale od czasu do czasu w reakcyjnej prasie emigracyjnej można znaleźć informacje w rodzaju takiej: **„Uroczystość poświęcenia sztandaru Koła Rezerwistów i Byłych Wojskowych w Hayenne zaszczycili swoją obecnością: dowódca brygady Świętokrzyskiej mjr. Brochwicz oraz pan de Wendel wraz z małżonką".** *)

Czasem szuka się długo właściwego określenia — (w jaki sposób sformułować związki emigracji reakcyjnej z kapitałem zagranicznym?) — a czasem wyręcza w tym sama emigracyjna prasa: „Wendlowie — chrzestni ojcowie sztandarów polskich faszystów".

Można by myśleć po zapoznaniu się z licznymi więzami łączącymi faszystów polskich ze Sztabami i potentatami przemysłu zbrojeniowego państw zachodnich, że wobec tego Bohuni, Zdrojewscy, Sosnkowscy, Komorowscy itd. — muszą cieszyć się wśród „wyższych sfer" burżuazji angielskiej, francuskiej czy amerykańskiej nie byle jakim szacunkiem, lub spotykać się z wdzięcznością, jako ci, co „w ciężkim okresie po bohatersku stanęli na szańcach obrony cywilizacji Zachodu".

Tymczasem rzecz ma się inaczej. Wdzięczność była (do pewnego czasu). Szacunku nie było wcale. Agenci tylko wtedy są pożądani, fetowani, hołubieni — dopóki nie wykonają swego zadania. Z chwilą kiedy polskie mięso armatnie (w niewielkiej zresztą ilości) znalazło się w jatce rzeźników dostarczających surowca dla amerykańskich fabryk konserw, wdzięczność przestała być potrzebna.

Wspomniany już kilkakrotnie Comité des Forges, poza kontrolą nad przemysłem wojennym, sprawuje również kontrole i w innych dziedzinach życia Francji. M. in. Comité des Forges jest w posiadaniu większości udziałów wielu pism francuskich, w tym — „Le Monde" — znanego „poważnego" dziennika uchodzącego do pewnego czasu za półoficjalny organ Quai d'Orsai. „Le Monde" od chwili kiedy kilka kluczowych portów francuskich oddanych zostało na amerykańskie bazy, rozpoczął druk wielkiego cyklu reportaży z Bordeaux i La Palice. W jednym z reportaży tego cyklu przy opisie stacjonujących tam wojskowych jednostek amerykańskich znalazło się następujące zdanie:

„w wojsku tym służą biali, Murzyni i Polacy..."

Do jakiej rasy należą Polacy?

Pomyłka czy co u licha?

Ani żart, ani pomyłka.

Trzeba wiedzieć, że wraz z okupacyjnymi oddziałami amerykańskimi przybyły do Francji oddziały Polskich Wartowników przy Armii Amerykańskiej (nie to samo, co Związek **byłych** Wartowników). Trzeba też wiedzieć, że w hierarchii społecznej GI-manów są, podobnie jak w społeczeństwie amerykańskim, dwa lub trzy zasadnicze szczeble dyskryminacji rasowej, przy czym Murzyni jak zawsze stoją na najniższym. Tymczasem sprawozdawca „Le Monde" zauważył jakiś nowy, najniższy szczebel i na nim ustawił Polaków.

Do jakiej rasy do licha należą Polacy?

Nie, żartem nie można się rozprawić z na pozór śmiesznym cytatem z „Le Monde", pamiętając o łańcuszku: „Le Monde" — Comité des Forges — de Wendel — mjr. Brochwicz. Czy niefortunny zwrot w „Le Monde" nie był podświadomym daniem wyrazu pogardzie dla janczarów na obcej służbie?

IV

Mówią do niego Tadek. Nazwiska właściwie nikt nie zna. Tadek cały dzień siedzi z głową opartą na rękach w restauracji „Grubego Józka" na Sempolu. Saint Paul, nazwa części IV dzielnicy Paryża, wymawiana polskim akcentem brzmi swojsko, jakby chodziło o przysiołek nad Wisłą, a nie średniowieczną gmatwaninę wąskich uliczek, zbiegającą w dół, ku mostom Sekwany. Tadek był kiedyś mechanikiem. Ale to było tak dawno, że on sam ledwo pamięta. W czasie wojny poszedł do Armii. Chciał się bić, nie wyszło, brygada, w której służył cały czas, stała w rezerwie. Kiedy dostał urlop — z Palestyny do Francji — wezwał go do siebie podporucznik, dowódca plutonu. „Weźmiecie tę paczkę, oddacie pod tym a tym adresem, dobrze? To rozkaz!" — „Tak jest!" — „Po przewiezieniu dostaniecie przedłużenie urlopu". — „Tak jest, panie poruczniku!" W paczce były diamenty. Żandarmeria przyłapała. Urlop przedłużył się w areszcie. Tadek przeklinał przypadek. Lecz kiedy wojna skończyła się, poszedł robić na czarnym rynku. Byli tacy co dorobili się majątków. On nie dorobił się niczego. Inwalidzka szrama na policzku pochodzi od noża w bójce przy podziale walut.

Czarne, zgarbione nad jezdnią, wsparte na laskach — grubych drewnianych belkach domy na ulicy Charlemagne, na ulicy Fauvet, wyglądają z zewnątrz romantycznie, patyna wieków — turyści cmokają z zachwytu. A w środku rojowisko nędzy ludzkiej. Sempol, polskie ghetto w Paryżu. Siedzę z Tadkiem w restauracji „Słowianka", patrzę na zewnątrz — zamazane mętną szybą sylwetki przechodniów zatrzymują się często. Uważnie, bez pośpiechu wyczytują wypisane koślawymi literami „Menu" na framudze drzwi (Kapuśniak — 30 fr., Kiszka kaszana — 80), ważą lekkie niklówki w dłoni, przesuwają jeden krążek za drugim. Nie, nie wystarcza. Słyszę jak Tadek mówi: — Był tu taki jeden, opowiadał cuda, co te Amerykany dają, jak się do nich pójdzie służyć. Dolary, żarcie, papierosy. Daj pan papierosa... Zaciąga się głęboko, przegina się w tył, do poręczy krzesła, gestem pewnego siebie człowieka. — Pamiętam, jak raz był wtedy taki dzień jak dzisiaj. Przerzucaliśmy transport „Cameli" do Niemiec... To było, panie, życie! Jak w sobotę poszedłem do knajpy, wynieśli mnie dopiero w poniedziałek. W najlepszych lokalach mnie znali, nie wierzy pan? Kelnerzy zginali się wpół, „Aaa, Herr Direktor, Aaa Herr Leutnant..." W Polsce podobnież teraz same garkuchnie?

Wychodzę.

Nad Sekwaną zwalniam kroku. Schodzę po kamiennych stopniach w dół. Górą tupocą równe, mocne kroki. Patrol policji. W dole cisza. Systematycznie, jakby poukładane przez obce ręce leżą — przypominają się widziane na zdjęciu trupy żołnierzy amerykańskich pod Seulem — jeden obok drugiego, jeden obok drugiego, postacie bezdomnych nędzarzy.

Myślę o człowieku. Człowiek — to brzmi dumnie — pisał Gorki. Bezdomni nędzarze na Sempolu są jeszcze ludźmi, choć urzędowo odmawia się im praw człowieka i dają jedną perspektywę powrotu do pełnych praw — przez odczłowieczenie, przez deptanie butem wyfasowanym z magazynu wojska amerykańskiego praw innych ludzi. „To zaszczyt!" — wołają naganiacze. Były policjant z Berezy stawia wódkę u „Grubego Józka". James Burnham, ideolog zbrojnego opanowania świata przez Stany Zjednoczone, pisze, że człowiek, człowiek prawdziwy charakteryzuje się — „instynktem niszczenia, pragnieniem zadawania cierpienia, potrzebą nienawiści. Ludzie w rzeczywistości... nie są dobrzy".

Propaganda zdobycia praw obywatela przez odczłowieczenie zwala się na rojowisko polskiej nędzy. Nędza rodzi albo bunt, albo cyniczną rezygnację wobec przemocy, a nawet — jej afirmację, umocnioną później wychowaniem w Oddziałach Wartowniczych na burnhamowskim podręczniku.

...następnego dnia poszedłem na Święto „Humanité" w Bois de Vincennes. Nad stoiskiem polskiej sekcji CCT unosił się biały gipsowy gołąbek trzymany wysoko w ręku gipsowej dziewczynki. Megafon dźwięczał śpiewem. „Naprzód młodzieży świata!" Francuzi długo stali przed gablotkami ze zdjęciami Trasy W—Z, Nowej Huty, Żerania, Domów wypoczynkowych w Zakopanem, żłobków i ambulatoriów przyfabrycznych. Czytali statystyki: 500 Polaków zginęło walcząc z faszyzmem o wolność Francji. 300 tysięcy Polaków pracuje w kopalniach i fabrykach Nordu i Pas de Calais.

Rozchlapał się deszcz. Grube bryły miękkiego błota przyczepiały się natrętnie do butów. Zabawa nie ustawała. Etienne Fajon miał kilkadziesiąt tysięcy słuchaczy. Deszcz stawał się coraz większy i coraz więcej było tańczącej młodzieży na odkrytych parkietach. Nic nie psuło nastroju świątecznego. Żaden policjant nie ośmielił się pojawić w pobliżu. Szpicle w cywilu, przemoczeni do ostatniej nitki, byli wściekli: kto ma zdrowie wytrzymać w taką pogodę?

Ostrożnie, panowie naganiacze.

Stefan Kozicki

*) Z ukazującego się w Paryżu sanacyjnego tygodnika „Syrena".

JAN WIKTOR

W PIĘTNASTĄ ROCZNICĘ STRAJKÓW CHŁOPSKICH

PRZEDE DNIEM...

Po godzinie pierwszej zajechały dwa auta. Policjanci w rozwiniętym szeregu, z karabinami gotowymi do ataku, podążyli ku górnej wsi i tak przeszli może półtora kilometra. Zaglądali do każdej kępy, bagnetami przebijali zarośla, kopy zboża, bojąc się zasadzki.

Od domu do domu leciała wieść:

— Idą zakuwać naszych chłopów i zamykać do kryminału za to, że strajkują. Ludzie! Ludzie, nie damy zabrać mężów i ojców!

Dzieci z płaczem biegły za matkami.

Gromadziło się coraz więcej kobiet. Wrzawa się wzbiła nad ziemię jak stado wron krążące nad osiedlem.

— Po coście tu przyszli? Zabijać? Jak na zbójów idziecie. Głodne my, biedne my — powiewały łachmanami, rozpinały kaftaniki, aby pokazać ciała nagie, wychudzone.



Rys. Szymon Kobyliński

— Tyleśmy się dorobili przy waszych rządach.

— Z bagnetami przyszliście. Dlaczego nie przynieśliście chleba. Żebyś miał głodne dzieci, żebyś nie miał w co odziać, w co obuć, tobyś z nami poszedł, tobyś z nami krzyczał — ich oczy, ich pięści jednako wołały.

Rozżalone i zbuntowane przypominały sobie przednówki, głodowanie, puste miski, barłogi.

— Zamknijcie gęby dzieciom, kiedy wołają jeść, zedrzyjcie z nich skórę, kiedy im zimno, a matkom wydłubcie oczy, żeby więcej tego nie widziały i więcej nie płakały.

Nędzarze wyzuci z wszelkich praw, żyjący w ucisku, w ciemnocie, w krzywdzie wydzierali słowa jakby kamienie spod serc rozpalonych, mściwych i ciskali w stronę policjantów, chcąc pogruchotać bagnety, roztrzaskać pałki.

— Skujcie nas, żebyśmy nie mogli ruchać rękami, skujcie nam gęby żebyśmy nie mogły o swojej biedzie wrzeszczeć.

Któraś podniosła dziecko z rozdętym brzuchem, z krzywymi nogami.

— Tyle nam zostało. Tegośmy się dorobili.

— Wyzabijajcie dzieci, niech się nie męczą, niech się nie poniewierają. Lepsza śmerć niż takie życie.

Kobiety oszalałe gniewem i żalem parły naprzód nieustraszone.

— Strzylajcie! Chłopów chcecie pozabierać do kryminałów, to nas wpierw wyzabijajcie. Złodzieja nie widzicie, ino nas, co sprawiedliwości łakniemy i chcemy, żeby na świecie inaczej było.

Któryś przyłożył karabin do ramienia i zmierzył.

— Nie boimy się twojego karabinu. Strzelaj.

Policja zawróciła. Kobiety postępowały tuż za nimi i zbuntowane przeciw życiu, ogarnione gniewem, zemstą, rozpaczą, przeklinały, płakały i wołały głosem głodnych dzieci, głosem nędzy i niedoli.

— Nie z kulami przychodźcie, ale z chlebem.

Wrzask niósł się daleko aż pod las, aż po krańce wsi. Chłopi, którzy uciekli przed pościgiem, teraz skierowali swe kroki ku domom. Inni przestawali pracować. Zdziwieni przykładali dłonie do oczu.

— Coś dziwnego tam się wyprawia?

— Ej, żeby nie było jakiego nieszczęścia.

— Jakie miałoby być nieszczęście? Baby jak baby; wyswarzą się aż im jęzory skołczeją i będzie spokój.

— Poźryj, co się tam tak łysło?

— Po-li-cyjo!

— Trzeba pomóc.

Chłopi bosi, spoceni popędzili ku wsi przez zagony, po zboczach, z gołymi rękami. Któryś wpadł do izby po swego przyjaciela, z którym służył w wojsku, właśnie wtedy kiedy matka stawiała na stole miskę.

— Chodź z nami. Tam bije policja!

— Pojedz sobie. Głodnyś. Narobiłeś się od świtania — matka prosiła syna.

— Zaraz, mamo, wrócę i skończę obiadowanie — wypadł z izby bez czapki. Już nie wrócił do miski, już nie ujął łyżki leżącej. Matka wciąż wyczekiwała, stawała przy oknie — co go tak długo nie widać? Całkiem mu wyziębnie jedzenie, ej, te nieusłuchane dzieci...

— Policjanty swoim widokiem sprowadzili ludzi. Nikt nie szedł, żeby się bić z policją, ino naród szedł z ciekawości, z żalu i z gniewu. Jakby ludzie chcieli wojnę robić, to by inaczej przyszli".

W czasie rozprawy uczestnicy zaburzeń zeznali: „Tłum, do którego strzelano, składał się w ogóle z 50 osób, a policjantów było 36. Policjanci po salwie bili uciekających ludzi kolbami karabinów".

Policjant karabinem się zamierzył na stojącego chłopa, a ten rzekł spokojnie:

— Ja karabinu się nie boję. Dość się nawojowałem. Za Polskę się biłem. Wiesz, o tu, o tu, widzisz — rozpiął koszulę i pokazał piersi w bliznach. — O Polskę się biłem, żebyś ty teraz mnie bił? — nie dokończył, chwycił się garścią za szczękę rozszczepioną bólem.

— Pałkami nie zbudujecie Polski.

Prezes Widzisz usłyszał wrzawę, zobaczył wybłyski bagnetów i biegł przez pole. Po drodze napotkał pasącego się konia. Nie pytając o pozwolenie skoczył na jego grzebiet i na oklep gnał. „Pędem przyleciał, żeby wstrzymać lud". Tchu nie mógł złapać. Zdyszany zawołał do zebranych:

— Ludzie! Ludzie! Nikomu nie stanie się krzywda. Cicho, baby. Chcę się dogadać z komendantem. — Ludzie sami się rozejdą. — Zwrócił się w stronę policji: — który z was jest komendantem? Niech wyjdzie. Czego, panowie, żądacie od nas? Po coście przyszli na Kasinkę tak uzbrojeni? Lud jest zgniewany i zrozpaczony. Walczy o swoje prawa legalnie. Każdy z nas w wojsku służył, a te kobiety to matki żołnierzy, co na frontach walczyli o niepodległość.

— Cicho!

— Mówię w imieniu skrzywdzonego narodu. Wieś podpalona. A kto ten ogień podkłada? Chłop nie idzie przeciw Polsce, bo kto by szedł przeciw matce, ino... Wezwę do rozejścia... Rozejdą się... — wyprężył się, nabrał sił, aby zawołać: — Ludzie!.. Ludzie!...

Komendant zniknął w szeregu.

Jeden ze świadków zeznawał w sądzie:

„Komendant nie słuchał prezesa, ale odwrócił się do oddziału i wydawał komendę. Policja rozbiegła się w tyralierę. Trzech czy czterech z nich na boku przyskoczyło do tłumu. Zaczęli bić pałkami. Po salwie nie chrasło na raz, tylko pojedyncze strzały do uciekających, jak na polowaniu".

Prokurator: — Czy była salwa ostrzegawcza?

Świadek: — Nie było.

Przewodniczący: — Czy dowódca wzywał do rozejścia się?

Świadek: — Wzywał.

Obrońca Długopolski: — A czy w tłumie było to dobrze słychać?

Świadek: — Nie, bo był hałas i krzyki.

Prokurator: — Czy z tłumu padły strzały?

Świadek: — Dopiero po strzałach policji.

Jest tu wyraźna sprzeczność z aktem oskarżenia, gdyż ten twierdzi, że strzały padły z tłumu przed salwą. Zresztą tzw. salwa nie była wcale salwą. Policjanci strzelali pojedynczo, tak, że strzały, słyszane po salwie, były po prostu pojedynczymi strzałami policji.

Obrońca Długopolski: — Z jakiej odległości strzelano do tłumu?

Świadek: — Z odległości dwóch, trzech kroków.

Obrońca: — A czy policja była w hełmach?

Świadek: — Była.

Obrońca: — A kto został uderzony kamieniem?

Świadek: — Ja.

Obrońca: — A czy policja miała pałki gumowe?

Świadek: — Tak.

Obrońca: — A czy próbowała rozpędzać pałkami?

Świadek po długim wahaniu: — No, nie.

Obrońca: — Czy jest możliwe, aby normalny pocisk karabinowy dawał odpryski?

Świadek: — Nie.

Obrońca Panaś: — Czy świadek oglądał rany postrzałowe u zabitych, u rannych?

Świadek: — Nie.

Policjanci przyłożyli kolby do ramion. Krótkie trzaski. Padło trzech chłopów twarzą do ziemi. Barki ich drgały gwałtownie i nieruchomiały.

Ktoś z tłumu krzyknął:

— Strzylają. Uciekać.

Ludzie zrazu stali porażeni, później w miejscu zawrócili i uciekali w popłochu. Dalej pulsowały pojedyncze łoskoty. Ktoś chwycił się za bok, ktoś runął z rozkrzyżowanymi ramionami. Ktoś zatoczył się, zamiótł rękami, jakby chciał kogoś objąć, i padł charcząc:

— ...za Polskęm się bił. Wolność...

Potem biegł prezes Widzisz. Zeskoczył z konia i uciekał na piechotę. Został postrzelony. Kulał.

Kiedy tak uciekał, jeden z policjantów wrzasnął: — Tego ...syna!

Prezes krzyknął: — Rany boskie! Ubiegł kilka kroków. Padł. Chciał się podnieść. Zerwał się. Wyprostowany stał. Rozprężał się jakby chciał kogoś zasłonić i runął w kwitnącą koniczynę. Dźwigał głowę, dźwigał ręce, dawał znaki, wołał.

Żona go widziała w tej straszliwej godzinie, chciała mu pomóc, biegła z dzieckiem. Zagrodzili drogę.

— Wont, cholero chamska. Chcesz tak samo, jak on!

— Mąż mnie woła. Słyszycie. Dajcie mi dojść do niego na ostatnie słowo.

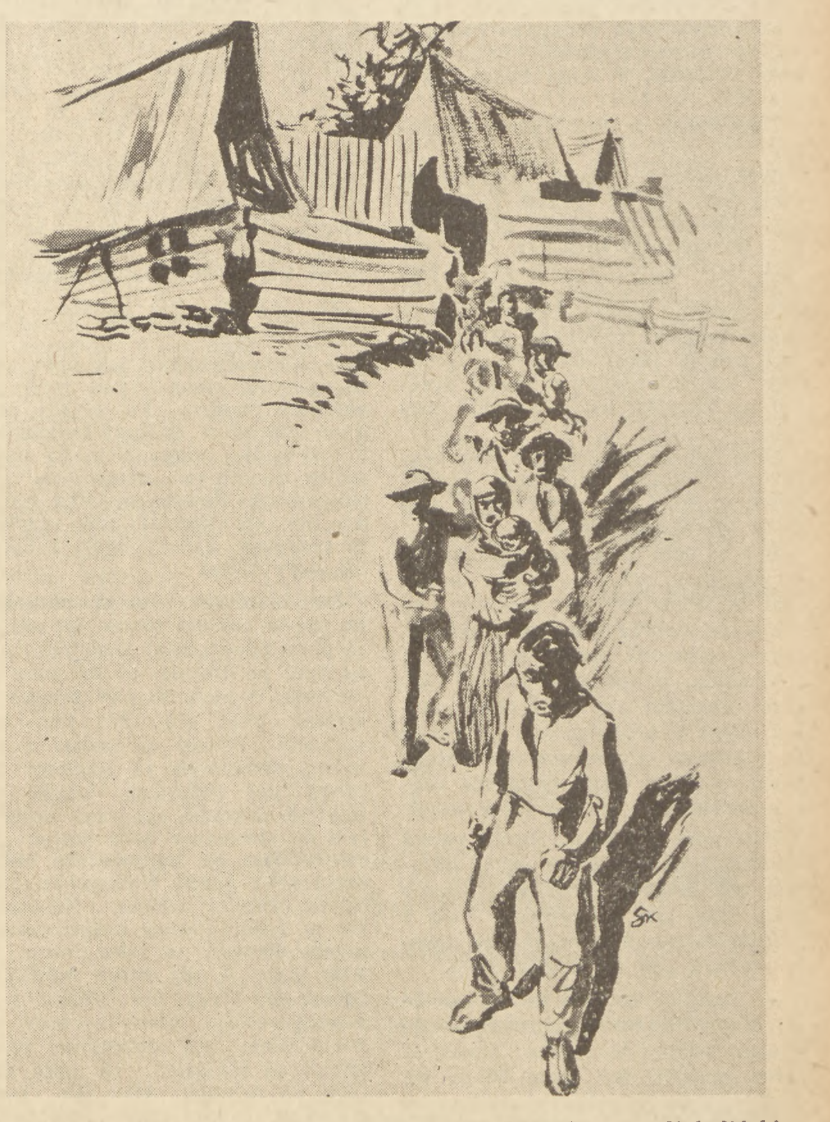
Odepchnęli. Skopali. Dziecko wysunęło się ze zgrabiałego uścisku i spadło na ziemię. Matka nie słyszała jego płaczu. Czołgała się na klęczkach.

— Może pragnie kapki wody, może chce ostatnie słowo wyrzec.

W odpowiedzi jeden kolbą się zamierzył, drugi pałką machnął.

— Przez łeb, jak nie ustąpisz. Nie właź pod nogi.

W oddali znać było, że Widzisz szamoce się, usiłuje wstać, może widział, że żona chce do niego dojść, że ją biją, więc musi ją bronić. Jeszcze raz powoli, z trudem wyłoniła się głowa z koniczyny. Usta rozchyliły się do krzyku.



Rys. Szymon Kobyliński

Widziszowa nie czuła kopnięć. Zerwała się i z zaciśniętymi pięściami szła gotowa walczyć z całym światem. Zmartwiała. Nie mogła wykonać tego, co postanowiła. Mięśnie szamotały się, aby iść, a stała jak pień wbity na zawsze w to miejsce. Szczęka odpadała bez wydania jednego słowa.

Dwaj policjanci podłożyli karabiny pod ciało rannego i ponieśli. Ciężki był. Zwisały porzucone nogi bose i spracowane ręce. Palcami dotykał źdźbła, jakby je z miłością głaskał, to znów w męce przedśmiertnej rozpaczliwie się ich czepiał, chcąc zabrać ze sobą. Nie zabrał, jeno na liściach koniczyny, a później na szarej glebie, na ściernisku została smuga, jakby przez całą długość pękła ziemia i zakipiała czerwienią.

Widziszowa w tym polu stała samotna, skamieniała.

— Strzylajcie do mnie.

Dziecko czepiało się nóg matczynych i płakało. — Mamo! Weźcie mnie do taty.

Widziszowa porwała je z ziemi, uniosła wysoko.

— Patrz. Tam niosą. Zapamiętaj na całe życie.

— Mamo — wrzasło dziecko — tatę będzie główka bolała, bo ją rozbiją na kamieniach.

Nie było nikogo, kto by uchronił męczeńską głowę od ostatnich, najboleśniejszych ciosów.

Zabici leżeli w kałużach krwi. Ranni wili się w męczarniach wołając o pomoc. Żony błagały:

— Przecież pomrą. Dajcie przewiązać rany.

Nikomu nie pozwolono dostąpić do rannych, aby wody podać, rany opatrzeć.

Jeden leżał twarzą ku ziemi jak spracowany żniwiarz pijący ze źródła. Drugi jakby po znojnej pracy odpoczywał wpatrując się w niebo. Trzeci z rozrzuconymi ramionami, podobny do obalonego krzyża.

Ciała rannych i zabitych policjanci sprzątali pośpiesznie i to w jednaki sposób. Podsuwali karabiny, dźwigali jak na noszach i z rozmachem wrzucali do wnętrza ciężarówki. Pomost wysoki. Trudno dosięgnąć. Nikt nie wie, czy o okutą krawędź ktoś głową nie uderzył. Kilku padło z jękiem na spiętrzoną stertę. „Ino się bose nogi migły, jak do auta wrzucali. Żywych i umarłych na kupę pociskali i dodusili".

Miłosierniejszy pobiegł do kopy owsa, porwał snopek, rozerwał powrósło i zaścielił pomost. Może dlatego, aby krew nie zgnoiła podłogi?

Konwojenci skoczyli do auta, stanęli po obu stronach z karabinami gotowymi do strzału.

— Jazda.

Motor zawarczał. Wóz szarpnął się gwałtownie, nie ruszał z miejsca. Może nie mógł udźwignąć ładunku. Koła tkwiły zaryte w kałużach. Dopiero po długim szamotaniu zaczęły się wytaczać z topieli. Syrena zabeczała głośno, zwycięsko. Wóz wreszcie ruszył, nabierał pędu i jechał po wybojach, po gałęziach, po kamieniach, przez potoki, ścierniska. Przy gwałtowniejszym wstrząśnięciu rozlegał się skowyt. Motor jakby rozstrzeliwał jęki i wołania dobywające się z wnętrza. Nie zdołał.

Na zagonach gdzie leżeli ranni i zabici, znać było pogniecione źdźbła, wyżłobienia i rozpostarte łachy krwi.

Strzały jakie padły w Kasince rozległy się daleko, wstrząsnęły zakątkami górskimi, rozbrzmiały w

(Dokokczenie na str. 7-ej)

EGON NAGANOWSKI

Od Pekinu do Tientsinu

Stare pagody, jako tło niesamowitych wydarzeń, czcigodni mandaryni, zgięci w pokłonach przed tablicami przodków, wytrzymali kulisi, ochoczo ciągnący białych dżentelmenów, rozpartych w dwukołowych rykszach, palacze opium zagubieni w rozkoszach „sztucznych rajów" i wysłannicy „Zielonego Smoka" czy innej tajnej organizacji, mordujący swe ofiary w tawernach i zaułkach portowych Szanghaju — oto Chiny z awanturniczych romansów, polujących na sensację opisów podróży i hollywoodzkich filmów. Oto wypaczony obraz olbrzymiego kraju, spreparowany według wszelkich reguł kapitalistycznego kiczu, którym europejski i amerykański imperializm usiłował przez dziesiątki lat zasłonić przed światem prawdziwe oblicze i prawdziwe położenie narodu, wydanego na łup obcych handlarzy, dyplomatów i militarystów oraz idących z nimi ręka w rękę rodzimych feudałów. W czasach zaś, gdy obudzony do rewolucyjnego czynu lud chiński toczył pod przewodem komunistycznej partii coraz bardziej zaciekłą walkę z krwawym reżimem Cang Kai-szeka i z japońskim najeźdźcą, w burżuazyjnym świecie starano się nadal usypiać sumienia idyllicznymi „Krainami uśmiechu" i „Spowiedziami Chinek".

Te szkodliwe pozostałości po reakcyjnej, rasistowsko - imperialistycznej „literaturze", trzeba usuwać ze wszystkich sił.

Pierwszym polskim literackim świadectwem nowego stosunku do wielkiego narodu azjatyckiego i jego spraw jest wydany ostatnio „Notatnik chiński" *) Jerzego Putramenta, owoc miesięcznej podróży odbytej w październiku 1951 roku z delegacją polską, udającą się na uroczystości II rocznicy proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej do Pekinu i dalej do Szanghaju, Hanczżou, Nankinu i Tientsinu. Mimo że książka — jak sam autor na wstępie zaznacza — nie rości sobie pretensji do „głębszych uogólnień ani wiadomości encyklopedycznych", mimo że w prostej formie dziennika spisywanego dzień po dniu daje tylko „doraźne wrażenia notowane na gorąco w samolocie, pociągu, wsi chińskiej, w fabrykach itd.", to jednak stanowi ona niewątpliwie bardzo cenną pozycję w naszej ubogiej literaturze podróżniczo - reportażowej. Wprawdzie część zasługi należy w tym wypadku przypisać niezwykle atrakcyjnemu tematowi, szczególnie tam, gdzie Putrament ogranicza się do rejestrowania „gołych" faktów i danych, których wymowa sama przez się jest pasjonująca, ale te informacyjno - sprawozdawcze fragmenty są gęsto poprzetykane barwnymi i plastycznymi migawkami o znacznych walorach artystycznych i emocjonalnych, trafne uwagi i spostrzeżenia ożywia często lapidarny, błyskotliwy dowcip, a całość utrzymana w tonie lekkiej, swobodnej narracji ujmuje bezpośredniością i świeżością przeżyć. Autor umie się zachwycać i dziwić, umie ten zachwyt i to zdziwienie sugestywnie przekazać czytelnikowi, który ma poczucie, że uczestniczy w pouczającej i pięknej przygodzie, co mu się przy lekturze współczesnych książek polskich nie często zdarza.

Zaletą reporterskiej kamery Putramenta jest jej wrażliwość na specyficzną urodę tego wielkiego kraju, na egzotykę obcych krajobrazów, budowli i dzieł sztuki, na zewnętrzny kształt chińskiej rzeczywistości, w której „każdy szczegółik tak się różni od naszych miast, ulic, domów, okien, klamek, gwoździ bodaj". Marmurowe mosty o 17 przęsłach, fantastyczne zwierzęta z brązu, pawilony cesarskich rezydencji z salami błyszczącymi od złota, całe okolice przeznaczone ongiś dla bogaczy, zamienione rękami wielu pokoleń i słowami dawnych pisarzy w „krainy poezji" — wszystko to przesuwa się przed naszymi oczyma urzekające bogactwem barw.

Ale te oszałamiające zmysły wspaniałości, uprzystępnione dziś — jeżeli chodzi o pałace, zabytki, parki — szerokim masom dla nauki i odpoczynku, nie przesłaniają Putramentowi zasadniczych problemów ludowych Chin, zajmują w sumie tylko niewielką część „Notatnika". Najbardziej bowiem pasjonuje autora dialektyczny proces wyrastania nowego na pniu tysiącletnich chińskich tradycji. Chwytając w przelocie i przejeździe, na przedstawieniach i wystawach, podczas krótkich wypadów do fabryk i wsi, najróżniejsze przejawy powyższego procesu, odbywającego się we wszystkich dziedzinach chińskiego życia, Putrament zadziwia z kolei operatywnością swojej kamery, swego pilnie notującego pióra. Od teatru, szczególnie teatru amatorskiego, w którym „uderza zdumiewające powiązanie elementów sztuki klasycznej, sztuki ludowej, sztuki współczesnej i wzorowanej na europejskiej, a wszystko razem uporczywie i konsekwentnie nawiązuje do wielkich zadań politycznych, stojących dziś przed Chinami" — po trudności i osiągnięcia ludowego dziennikarstwa, reformę rolną i nowe prawo małżeńskie, otrzymujemy spory zasób popartych cyframi wiadomości i danych, wskazujących na to, że w dwóch ostatnich latach więcej się w Chinach zmieniło niż w przeciągu ubiegłych dwóch tysiącleci. Ale odebranie ziemi obszarnikom i fabryk rodzimym i obcym kapitalistom — dzięki czemu jeden z wielu prostych ludzi, z którymi autor w Chinach rozmawiał, zarabia dziś nie 40 kg ryżu, lecz okrągłe 300 — to dopiero początek olbrzymich przeobrażeń, przekształcających od podstaw byt wielkiego narodu. „Dać Chińczykowi — konkluduje Putrament — maszyny rolnicze, sztuczne nawozy, nawodnić pustynne obszary nad Środkową Hoangho czy w wewnętrznej Mongolii, a przede wszystkim uwielokrotnić przemysł — i ja wiem? — czego by dokonała ta paręsetmilionowa pracowitość, skromność, ten nieporównany zapał rewolucyjny i patriotyzm, ta dyscyplina wewnętrzna, nagle objawiona światu, te zdolności organizacyjne".

Tu doszliśmy do spraw najistotniejszych, plastycznie ukazanych w „Notatniku", do wspaniałego kapitału moralnego, którym dysponuje dziś wolny lud chiński. I tu też opada wszelka egzotyczna powłoka; stare bajki o „zagadkowej duszy wschodu" tu właśnie wydają się szczególnie śmieszne. Bo gdy chłopi podszanghajskiej wsi, uwolnieni od zmory obszarników — lichwiarzy, podczas święta zakończenia reformy rolnej postanawiają walczyć o dalszą demokratyzację Chin i pamiętać „że kiedyś będziemy budować socjalizm i komunizm", gdy 14-letni Wan Wyn-bao chce być w przyszłości traktorzystą, mimo że traktor widział tylko na obrazku, gdy pracowników pewnej fabryki napawa głęboką dumą fakt zmontowania i posiadania jednej z pierwszych obrabiarek, całkowicie wykonanych w Chinach — to są to dla nas uczucia, pragnienia i dążenia jak najbardziej zrozumiałe i bliskie. Putrament notuje co chwila wymowne przykłady wielkiego zapału i uporu, z jakim lud chiński kroczy po nowej drodze, buduje i urządza domy kultury, szkoły, przedszkola, szpitale itd., przeorywuje najbardziej zaniedbane dziedziny życia, skalisty niekiedy grunt pradawnych przesądów i przyzwyczajeń.

Do tych wszystkich zadań mobilizuje chińskie masy partia z Mao Tse-tungiem na czele, partia, która po trzydziestoletnich ciężkich zmaganiach odniosła zwycięstwo. Jej porywające dzieje autor ilustruje nie tylko przy pomocy historycznych danych, zanotowanych na jednej z doskonałych wystaw chińskich, nie tylko przy pomocy pięknych opisów z miejsc wiecznego odpoczynku Su Jat-Sena i innych bojowników rewolucyjnej sprawy, lecz opowiada je także ustami żołnierzy i oficerów Chińskiej Armii Ludowo - Wyzwoleńczej, z którymi się spotkał w pekińskim Domu Bohaterów. Dramatyczne te opowiadania świadczące o bezgranicznym poświęceniu synów i córek Chin dla ludowej ojczyzny, opowiadania obejmujące również przeżycia ochotników, walczących na Korei, rzucają m. in. ciekawe światło na jedną z zasadniczych cech narodu chińskiego — na jego wielką skromność i prostotę.

Obywatele nowych Chin umieją jednak nie tylko ofiarnie walczyć i pracować, umieją też radośnie obchodzić swoje rewolucyjne święta. Czuje się, że pióro Putramenta tylko z trudem nadążało za wydarzeniami olbrzymiej, barwnej manifestacji, którą był pochód około miliona ludzi, zorganizowany z okazji II rocznicy ogłoszenia Chińskiej Republiki Ludowej. I wyczuwa się, jakim podziwem przejmowała go zdecydowana wola wywalczenia i utrzymania pokoju, wybijająca się podczas tej manifestacji na pierwszy plan. Nic w tym zresztą dziwnego, skoro pod apelem sztokholmskim złożono w Chinach przeszło 223 miliony podpisów, pod apelem o pakt pięciu mocarstw — 344 miliony, a pod apelem przeciwko remilitaryzacji Japonii prawie 340 milionów. To są imponujące cyfry, które oznaczają, że „praktycznie cała dorosła ludność Chin zna program, wysuwany przez Komitet Obrony Pokoju i Walki z agresją amerykańską i program ten podziela". A że jest tak naprawdę, o tym autor miał wielokrotnie sposobność przekonać się w rozmowach z prostymi ludźmi na wsi i w mieście. I oni też z uniesieniem witali delegatów z Polski, Związku Radzieckiego, krajów demokracji ludowej, NRD, państw azjatyckich, z uniesieniem szczerym i w całym tego słowa znaczeniu spontanicznym, które usuwało resztki obcości, łącząc w wielkim uczuciu internacjonalistycznego braterstwa przedstawicieli najróżniejszych ras, narodów i kultur.

„Wasze szczęście, przyjaciele chińscy, jest naszym szczęściem". Tym zdaniem, zapisanym na przedostatniej stronie książki, Putrament niejako podsumował swą miesięczną podróż, istotny sens swej niezapomnianej chińskiej przygody, swego pięknego „Notatnika". Bo egzotyczna uroda dalekich krajów, uniesiona pod powieką, może się zatrzeć w pamięci, natomiast uczucie przyjaźni i braterstwa, zasiane w sercu, posiada moc przetrwania.

Egon Naganowski

*) Jerzy Putrament: „Notatnik chiński". Wyd. Min. Obrony Narod. W-wa 1952, str. 296.

JOZEF KUŚMIEREK

ŻYCIO

Tej wiosny, wyjątkowo kapryśnej i długiej, byłem w Szczucinie. Po załatwieniu spraw jakie miałem tam do załatwienia, musiałem pozostać do dnia następnego, gdyż pociąg ze Szczucina do Tarnowa kursuje tylko dwa razy dzeinnie, a innej komunikacji nie ma.

Nocowałem u Władysława Basiora.

Władysław Basior wybudował swój dom już po wojnie. Z rozmowy, jaka się zawiązała przy kolacji, wywnioskowałem, że dom ten jest jego dumą, a był—przez całe życie — marzeniem. Opowiadał szczegółowo, kiedy i jak zakupił cegłę, fachowo objaśniał (z zawodu jest cieślą), jakie dał wiązania dachu jak skombinował suche drzewo na futryny, które też sam zrobił.

Dom był murowany, ale, jak zdążyłem zauważyć, wchodząc, zachowane w nim były proporcje starych, drewnianych chałup.

Był to dom inny, jak mi Basior opowiedział, niż ten, który zamierzał budować w 1927 roku. Wtedy mimo że dobrze wówczas zarabiał, chciał wystawić murowankę, pokój z kuchnią, o jednospadowym dachu. Spotyka się takie domy wokół miast przemysłowych, stawiali je robotnicy z oszczędności całego życia, o ile w ciągu życia nie często przytrafiały im się nieszczęścia.

Plac miał po żonie. Basior ożenił się w 1922 roku, zakupił cegłę, zlasował dół wapna, myślał, jeszcze dwa, trzy lata a wyniesie się z jednoizbowego komorniaka na swoje. Jednak coś się wtedy stało..

— Dawniej też zdarzało się—mówi Basior o tamtych czasach—nie miałem roboty w swoim zawodzie przez miesiąc czy dwa. Brało się wtedy każdą inną. ludzie znali mnie, dawali zarobić. Bezrobocie było, ale nie tak, aby za życie nie przyjęli do roboty. W 28 roku miałem robotę, dobrą robotę w Krakowie, przy budowie kamienicy. Byłoby jej do jesieni, miałem wszystko przygotowane i myślałem, że przed zimą postawię mury pod dach, ale fabrykant, który stawiał kamienicę, zabił się. Robotę przerwali. Wróciłem do Szczucina, chciałem już nawet zaczynać z tą gotówką, jaką miałem, ale coś mnie tknęło. Cegła nie zniszczy się, pomyślałem, z tej cegły żyliśmy rok, a wapno zmarnowało się, bo nikt nie chciał kupić, nawet na bielenie.

Wojna światowa, ta 1914 roku, zastała Basiora w służbie, czynnej w armii austriackiej. Już w pierwszym dniu wojny znalazł się na froncie, a po kilku został ranny. Nie tyle skomplikowany postrzał ile nieskomplikowane leczenie spowodowało utratę 45% zdrowia. Szczęśliwy, że go zwolniono z obowiązku obrony c. k. Austrii, nie starał się o uznanie swego inwalidztwa, nie chcac pokazywać się na oczy wojskowym komisjom w obawie, że te, naglone wielkimi stratami na froncie, nie uznają jego dotychczasowych ran za wystarczające.

Był na tyle rozumny, że wiedział: jako robotnik fizyczny, jakim był dotychczas, nie dorówna innym. Wyuczył się ciesielstwa. W czasie wojny pracował w tartaku, a po wojnie, gdy ludzie w zniszczonych okolicach, zapożyczając się na wysoki procent, budowali, poszedł pracować na własną rękę. Ruch był wtedy w miastach i na wsi, można było się ożenić i myśleć o budowie własnego domu.

Rozmawialiśmy mimo późnej pory. Żona Basiora kilkakrotnie zaglądała do kuchni upominając męża: Władek, pan pewnie chce spać. Później i ona przyszła do kuchni i słuchała.

— Roboty szukałem przez rok. Chodziłem od wsi do wsi. Nie ja jeden. Ludzi się wtedy zrobiło dużo na świecie, więcej jak przedtem. Wszędzie ich było pełno i wszystko za robotą. różnych blacharzy, zdunów, szklarzy, lutowników, krawców — byli i tacy, co jeszcze próbowali handlować. Początkowo to ludzie dawali jeszcze chleb. Nie żebrałem. Przychodziłem do chałupy i mówiłem: może coś zrobić. cieśla, stolarz jestem, ... za jędzenie. Jedni dali kromkę chleba, inni pół bochenka, czasami dali zjeść zupy. Tego chleba miałem nieraz pół worka, nie było co z nim zrobić. każdy miał to samo a pieniędzy nikt. Nieraz człowiekowi chciało się napić piwa, a nie było za co. Później ludzie dawali już coraz mniej. Nie to, żeby chleba zabrakło, ale bieda była taka, że litości nie znali. Tu, na trzy powiaty sama morgowa nędza. Dawniej to na Saksy jeździło, za Austriaków przy regulacji Wisły robili, na szosach. A wtedy wszystko siedziało w domu. Pan nie ma pojęcia, jak długo można wyżyć samym chlebem: miesiącami. Na zimę wróciłem do Szczucina. Gospodarz nas z lokatornego nie wyrzucał, bo nikogo by nie znalazł, a tak to mu moja żona trochę pomogła, ja jakieś naprawki zrobiłem Nie można o nim nic złego powiedzieć, też go zrujnowało. Więcej za robotą nie chodziłem. Tu w Szczucinie było mi łatwiej przeżyć bezrobocie. Łatwiej nie łatwiej, bo znów tak patrzeć co dzień na dzieci... Nie raz to człowiek by poszedł i mordował.

Złodziejstwa się, panie, narobiło z tej nędzy, jeden drugiemu kradł. Prawie do wojny tak było — dziesięć lat. Jak my przeżyli, to już ja sam nie mam pojęcia. Jak w 38 roku złapałem robotę, to myślałem, żem do nieba się dostał, tak mi to już wszystko dokuczyło. W wojnę, ten strach żeby dzieciaków nie wywieźli. I z jednej strony żal było tej Polski, z drugiej przeklinał ją człowiek, bo to, panie, uważałem, że przez nią mam życie zmarnowane.

Eh, Władek, też gadasz — przerwała mu żona.

— Co, mówię tak jak było, pan to rozumie, chociaż pan tych czasów nie pamięta. Po wojnie przez dwa lata znów chałupy budowałem, ale później przeszedłem na państwową robotę, w „Mostostalu", przy szalunkach. Zawsze dodatek rodzinny był, bo dzieciaki się uczyły a ja bezrolny. I diety były, i tak do tej pory robię.

Ludzie nieraz i teraz narzekają, bo często cholera bierze. O! gdybym ja panu opowiedział historyjki, jakie tu były po wojnie, to by panu oko zbielało. O nich, to pan jeszcze nie słyszał, choć się tym pan intereresuje. Proszę ja pana, z tym moim domem co ja miałem! Materiał już zwiozłem, wapno zlasowane, murarze zgodzeni, pojechałem do starostwa, żeby dostać pozwoleństwo na budowę. To oni do mnie — a plan? Narysowałem im, bo to przecież umiem. Nastawiało się w życiu chałup najprzeróżniejszych, człowiek w ręku miarę ma i w oku. A oni mnie mówią, że takich budować nie wolno, i pokazują swoje plany — niby zatwierdzone. Jak zobaczyłem te pokraki, to myślałem, że mnie szlag trafi na miejscu. Albo jak budka dróżnika, albo znów jak by kto ociosany kołek w ziemię wbił. Ani to ładne. ani składu ani ładu w mieszkaniach nie ma. Dach szpiczasty jak lejek, albo powichrowany, okna szerokie, jak to w Krakowie nazywają weneckie, a chałupinka, że dwa takie okna i cała ściana. A tu, panie, w tych stronach ludzie swój gust mają. Na te nasze chałupy to malarze przyjeżdżają z Krakowa i Warszawy, rysują i mówią, że w nich... te, te proporcje akuratne. My tak z dawien dawna budujemy. Zabrałem swój rysunek i jazda do domu. Mówię murarzom — tylko się uwijajcie. Jak przyjechali, to już wiecha w kominie była. Zapłaciłem karę i tyle, ale za to dom mam porządny.

— Ale co to wszystko znaczy, co to wszystko znaczy — powtórzył — najważniejsze, że taraz dzieci już mają zawód, zarabiają na siebie. Ile to człowiek by się musiał namęczyć, żeby je gdzieś wypchnąć. Pracują na Nowej Hucie, też cieśle, to znaczy syn, bo córka jest za cieślą.

Przegadaliśmy tak całą noc, Nie żałowałem jej, choć następnego dnia miałem jeszcze dużo roboty... Moim zawodem jest dziennikarstwo i jako dziennikarz często poznaję się z życiorysami. Pisząc, ograniczam się zawsze do faktów, nie dodając od siebie ani tego, co dany człowiek myśli ani co czuje. Zostawiam to czytelnikowi, tak jest ucaciwiej. Uważam wbrew temu co się mówi, że nie ma bardziej pasjonującej lektury niż życiorysy, szczególnie teraz. Choć wszędzie widać zmiany, jakie się dokonały w ciągu tych siedmiu lat, to jednak nigdzie nie są one tak wielkie, jak właśnie w ludzkich życiorysach. Ciekawe są też ankiety personalne, gdy się je uważnie czyta. Ileż tragicznych dziejów kryje się w jednym słowie „bezrolny" z rubryki: „pochodzenie społeczne".

Nową Hutę zobaczyłem po raz pierwszy tego lata, byłem oszołomiony. Nie wyobrażałem sobie, że to miasto jest aż takie duże. Ja, dziennikarz, nie dowierzałem trochę naszej propagandzie, a wiersze poetów uważałem za młodzieńczą egzaltację.

Spotkałem tam Władysława Basiora, jego syna, córkę, zięcia i jedną dziewczynę, narzeczoną syna. W tej sprawie Władysław Basior przyjechał do Nowej Huty. Był niezadowolony, sądził, że jego syn ożeni się z jakąś dziewczyną w Szczucinie, znaną dobrze rodzicom i że odbędzie się to normalnym i przyjętym trybem; swaty, zaręczyny, zapowiedzi no i ślub. List, który otrzymał od syna z zawiadomieniem, że się żeni, zdenerwował go i ślady tego zdenerwowania były jeszcze widoczne, choć nic w tej dziewczynie po dniu znajomości złego nie znalazł. Uważał, że takich rzeczy bez wiedzy ojca się nie robi.

Syn Władysława Basiora, Lucjan, pracuje na Nowej Hucie trzeci rok, prawie od samego początku. Po wyjściu z wojska — w 1947 roku—pracował wraz z ojcem, pokłócili się jednak, więc przyjechał do Krakowa. Półtora roku pracował na własną rękę budując wille waluciarzom i spekulantom. Na Nowej Hucie budował baraki, pracował przy budowie miasta, teraz pracuje na kombinacie. Początkowo rozpił się trochę, parę razy go poturbowano, teraz już się uspokoił. Niech to nikogo nie dziwi, w Nowej Hucie niektórzy tak zaczynali.

Swoją narzeczoną poznał niedawno, przed czterema miesiącami, to jest od czasu, kiedy zaczęła pracować w sklepie spożywczym jako ekspedientka. Nie ma jeszcze dwudziestu lat, jest córką tramwajarza.

Po ukończeniu szkoły powszechnej — w 1946 roku — przez dwa lata siedziała w domu, nazywało się, że pomagała matce, a właściwie nic nie robiła. Rodzice nie posłali jej na żaden kurs, i ma o to do nich żal, te dwa lata uważa za stracone. W domu było ciężko, dziewczyna już miała swoje potrzeby, chciała pracować. Znalazła pracę w jednym z sanatoriów zakopiańskich. Praca wśród chorych, otoczenie ludzi cierpiących męczyły ją, była za młoda. Zrezygnowała z tych samych powodów ze szkoły pielęgniarskiej, do której ją chciano skierować. Wróciła do Krakowa, nie szukała długo pracy. Jedna z koleżanek namówiła ją, by się zgłosiła do personalnika Spółdzielni Spożywców. Zaproponowano jej pracę na Nowej Hucie.

Lucjan Basior spodobał jej się od razu. Spokojny, choć wesoły, dobrze zarabiał, umiał się dobrze ubierać i był naprawdę przystojny. Parę razy zapraszał ją na potańcówki, jakie się odbywają na placyku przed Domem Kultury przy dźwiękach zachrypłych głośników, zaprosił ją na kolację do „Feniksa" w Krakowie, później już chodzili stale ze sobą. Jednemu, co ją natrętnie zaczepiał, wyczekując pod sklepem aż skończy pracę, krótko powiedział — „odwal się". Gdy zgodziła się zostać jego żoną, rozpoczął starania o mieszkanie. Dotychczas mieszkał w Hotelu Robotniczym. Mieszkanie — jeden pokój



Rys. Jan Lenica

— mają otrzymać za kilka tygodni. Narzeczona Basiora jeszcze tej jesieni chce się zapisać na kurs buchalteryjny Basior początkowo się trochę krzywił, nie chciał mieć, on, robotnik fizyczny, żony urzędniczki. Koledzy wytłumaczyli mu, że postępuje niesłusznie, bo przecież gdyby tylko chciał i on mógłby się pchać wyżej. To go przekonało, choć nie powziął w tej sprawie żadnej decyzji. Ślub mieli wziąć na Nowej Hucie, bo tu byli zameldowani, ale wesele odbędzie się w Szczucinie. Nie mogli ojcu odmówić tej przyjemności.

Razem poszli oglądać nowe mieszkanie na osiedlu „C jeden". Że też nie nadano dotąd dzielnicom Nowej Huty jakichś ładnych i rozsądnych nazw! Nie było jeszcze wykończone, dwa pokoje z kuchnią. Drugi pokój miało otrzymać inne małżeństwo, też nowożeńcy, kuchnia wspólna, do czasu, kiedy cała Nowa Huta będzie wykończona. Już niedługo — trzy lata.

Stary Basior fachowo oglądał robotę. Nie podobało mu się, a najgorsze, że z mokrego drzewa. Chodził po pokojach i stękał. Młodzi nie słuchali go i sprzeczali się jak poustawiają meble. Siostra Basiora doradzała przyszłej szwagierce — by łóżeczko dziecinne postawiła blisko swojego łóżka, by mogła ręką sprawdzić, czy dziecko ma sucho. Narzeczona Basiora śmiała się, ale słuchała uważnie. — Siostra już ma mieszkanie od pół roku, tu, na Nowej Hucie.

Wieczorem poszliśmy ze starym Basiorem oglądać inne jeszcze niewykończone budynki na „C jeden" i „C dwa". Młodzi pojechali do Krakowa kupować różne rzeczy na wesele, wieczorem mieli pójść do kina. Stary Basior został, chciał sobie obejrzeć miasto. Łaziliśmy po różnych budowach, tam gdzie nas zatrzymywano wyjmowałem swoją legitymację dziennikarską i zaświadczenie z Dyrekcji Budowy. Kompleksy budynków mieszkalnych na „C — jeden" są wielkie, tak że domek Basiora w Szczucinie, wydałby się przy nich malutki, a nawet bloki mieszkalne na osiedlu „A — zero" czy „A — jeden" wydają się stosunkowo niewielkie.

Gdy tak sobie chodziliśmy, gadając o tym i o owym Basior powiedział:

— Z drugiej strony, skąd brać tyle suchego drzewa, na takie całe miasto. A żeby, panie, to jedno. W Rzeszowie byłem, widziałem, też budują, a w samym Krakowie ile!

Nie potrzebował mnie przekonywać Więcej niż on widziałem budowli, widziałem Gdańsk, Częstochowę, Śląsk, ciągle oglądałem Warszawę. Nieraz pisałem o tych budowlach pisząc także o trudnościach, jednak lepiej, że Basior sam to zrozumiał. Pożegnałem go, miałem teraz dwie godziny wolne do wieczora i wolny wieczór. Nie byłem zdecydowany, mimo że zastanawiałem się nad tym od samego rana, czy pójdę dziś wieczorem do Tarkowskich. Mieszkali na „A—jeden", musiałem więc przejść przez centrum Nowej Huty, szeroką wielkomiejską ulicą. Lampy były już zainstalowane, środkiem układano szyny tramwajowe, po bokach stały kopki żyta i kozły cegieł, z których zwiezieniem wstrzymano się dotychczas, czekając aż żyto dojrzeje. Tu będzie centrum Nowej Huty.

Tarkowską znałem od 1945 roku. Byłem wówczas jeszcze w wojsku, ona pracowała już w dziennikarstwie, mogła mieć wtedy najwyżej siedemnaście lat. Zadebiutowała świetnie, kilka jej reportaży zrobiło trochę szumu w zatęchłym wtedy światku dziennikarskim Warszawy. Przepowiadano jej świetną przyszłość. Była ładna, prowokująco ładna, ubierała się ekstrawagancko i tak samo się zachowywała. Poznałem ją przez kolegę — dziś znanego dramaturga, a wtedy dziennikarza ze „Zwyciężymy" — gazety Pierwszej Armii. To co mnie już przy pierwszym zetknięciu się z nią uderzyło, to była jej, może nie tyle młodzieńcza zarozumiałość, ile poza wyższości w stosunku do wszystkiego i wszystkich. Najgłupsze androny mówiła tonem pewnym siebie i pouczającym, a że podobała mi się, nie wytykałem jej tego. Miała bogatą rodzinę za granicą, o której wyrażała się z pogardą. W czasie wojny straciła najbliższych. Matka jej zginęła w powstaniu, ojciec nie wrócił z obozu. Ojciec jej był znanym adwokatem, znanym także z postępowych przekonań. Przedtem był sędzią, ale musiał podać się do dymisji. Pochodził z bogatej mieszczańskiej rodziny, która przejęta ideami pozytywizmu zbankrutowała finansowo. Matka Tarkowskiej była malarką, śpiewaczką, kiedyś podobno była najładniejszą kobietą Warszawy. Rodzice jej nie żyli z sobą, ona wychowywała się przy ojcu Była jedynaczką, ojciec kochał ją szalenie i na wszystko pozwalał.

Po raz drugi spotkałem Tarkowską w czasie pierwszego Zlotu organizowanego przez ZWM w 1947 roku. Pracowała w Zarządzie Głównym ZWM, postanowiła zostać działaczką polityczną. Nie miała matury, a była w zarządzie akademickim i studiowała filozofię. Wtedy takie rzeczy były jeszcze możliwe. Zarozumiała, nie słuchając niczyich rad, narobiła głupstw, niestety nie ostatnich. Wróciła do dziennikarstwa. Pracowaliśmy w jednej redakcji. Obserwowałem ją. Była piekielnie zdolna i inteligentna. Wiedziała o tym i to było przyczyną jej błędów. Pisanie przychodziło jej łatwiej niż innym, więc pisała niedbale i mało, uważała, że i tak redakcja powinna być zadowolona z jej współpracy. Nie wyzbyła się swojego — denerwującego innych — pouczającego i pełnego wyższości tonu, przez co narobiła sobie wrogów. Koledzy próbowali jej docinać, ale ona miała język jeszcze ostrzejszy — wybuchały awantury. Redaktor, dla świętego spokoju, przeniósł ją na inne stanowisko, gorsze, korektorki. Jak dawniej ubierała się ekstrawagancko, chodziła po lokalach, krążyły wokół niej krzywdzące plotki.

Męża jej poznałem na uniwersytecie. Był ze mną na jednym wydziale i tym samym roku. Pochodził z drobnomieszczańskiej, rzemieślniczej rodziny. W czasie wojny, tak jak wielu młodych jemu podobnych, udawał że pracuje, by nie być wywiezionym, kombinował aby żyć i nie miał żadnych wykrystalizowanych poglądów. Wcześnie wstąpił do Partii, w lutym 45 roku. Co go przekonało?

W kilka dni po wyzwoleniu Śląska przez Armię Radziecką potworzyło się tam mnóstwo „komitetów" roszczących sobie pretensje do władzy. Nie było chleba, nie było światła, nie było komunikacji, nikt nie obsługiwał pomp w niektórych kopalniach. Kopalnie zatapiały się. „Komitety" kłóciły się o władzę, były frakcje, bloki, komisje, ale nic nie ruszało z miejsca. Przyszli PPR-owcy. Chodzili od domu do domu, wyciągali górników, tramwajarzy. Jednym wystarczyło powiedzieć tylko, by przyszli, innym nawet mówić tego nie potrzeba było, ale byli tacy których trzeba było namawiać. Po kilku dniach ruszyły kopalnie, samochody wysłane po zboże wróciły i gdy w „komitetach" radzono nad sposobami zaaprowizowania siebie i Śląska, PPR-owcy kazali piekarzom piec chleb. To go przekonało. Najpierw pomagał peprowcom, później już z nimi pracował. Strzelano do niego, był ciężko ranny. Pracując, zrobił maturę, dostał stypendium, zapisał się na uniwersytet. Tam go poznałem.

Początkowo przynosił do naszej redakcji luźne notatki. Po paru miesiącach przeszedł do nas na etat. Pracował dobrze, nawet bardzo dobrze. Miał świeży, niezmanierowany styl, potrafił dostrzec rzeczy dobre i złe, których przedtem nikt z nas nie zauważał. Jego argumenty w artykułach były poparte przykładami logicznie dobranymi. Był dobrym, uczynnym kolegą. W redakcji poznał Annę. Dlaczego Anna jego wybrała, mając tylu starających się, nie wiem, a zresztą to nie ważne. Byli tacy, co mu odradzali związku z Anną, ale był zakochany i nie słuchał nikogo. To sprawiło, że nawet w wypadkach kiedy wina Anny była bezsporna, nie zgadzał się z tym. A tak już się jakoś układało, że z Anną, (była wtedy tylko korektorką) nigdy nie miało się spokoju. W tym czasie nastąpiła u nas zmiana na stanowisku naczelnego redaktora. Nowym naszym naczelnym redaktorem była kobieta. Nie mam nic przeciw kobietom na stanowiskach, wręcz odwrotnie, znam wiele zakładów pracy, gdzie kobiety są świetnymi kierowniczkami. Ta jednak miała wyjątkowo nieprzyjemny charakter. Kompletnie wyprana z poczucia humoru, w stosunku do podwładnych nieprzyjemna, w najbłahszych sprawach używająca argumentów od wielkiego dzwonu, dyskusje o najkonkretniejszych sprawach przesuwała w sfery tak ogólnikowe, że w nich już wszystko mogła udowodnić.

Anny nie znosiła, wyprowadzała ją ona z równowagi. Anna nie należała do kobiet, która na jedno słowo nie znajdzie dwóch. Naturalnie robiła to z humorem i dowcipnie, górowała tym nad naczelną redaktorką, a to zniesie mało kto. Między nią, jej mężem i naczelną były ciągłe utarczki, w redakcji wytworzyła się paskudna atmosfera. I wtedy Tarkowski zrobił głupi kawał, z zemsty, ze złości, diabli go wiedzą, ale kawał ten skrzywdził cały zespół. Wiem, że żałował tego. I ona i on zostali usunięci z redakcji. On próbował pracy w zakładach krawieckich, ona w księgarni, ale byli wytrąceni z równowagi. Nic im nie szło. Znaleźli się koledzy, którzy chcąc się przypodobać „naczelnej", ostentacyjnie nie podawali im ręki.

Wyjechali do Nowej Huty wiosną ubiegłego roku. Z dzieckiem. Od tego czasu nie widziałem się z nimi. Słyszałem, że Tarkowski pracował jako robotnik fizyczny.

Nie wiedziałem, czy moje odwiedziny, przypomnienie tamtych czasów nie sprawi im przykrości, choć znali moją życzliwość.

Moje obawy były niesłuszne. Anna ucieszyła się szalenie. Mają ładne małe mieszkanko. Choć jest jeszcze nieumeblowane, odczuwa się w nim zadomowienie. Anna nie zmieniła się, może nawet wyładniała. Ma dopiero dwadzieścia dwa lata. — Przygotowuje się do egzaminów. Zarzuciła już myśl o filozofii, chce iść na matematykę. Początkowo było im tu pod każdym względem ciężko.

Anna pracowała jako kierowniczka świetlicy, mieściła się ona w słynnym w owych czasach magazynie Monopolu Tytoniowego. Anna nie byłaby sobą, gdyby i tu nie zaczęła walki, tym razem o słuszne sprawy. Chodziło o dekorację świetlicy. Ludzie, dysponujący funduszami na ten cel, mają najrozmaitsze poglądy. Zdarza się, że uważają, iż świetlica może być miejscem otwieranym przed i zamykanym po każdym zebraniu. Etatowym urzędnikom, którzy nie ze swojej winy nie wiedzą, co to jest estetyka, tłumaczyła, że skoro w Polsce są fundusze na to, by urządzenie wnętrza sklepu z damską konfekcją powierzyć artyście-dekoratorowi, to powinny się one tym bardziej znaleźć na dekorację świetlic. Zorganizowała zespół, ale dyrekcja Hoteli przenosiła jej ludzi na różne krańce przyszłego miasta. Już miała wygrać swoją sprawę — wtedy zachorował synek. Resztę

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

ŁAŹ

AKT IV

Scena przepleciona schodami. Kąty schodów, platformy i drzwi mieszkań. Na górną platformę wychodzi ubrany jak do podróży i z walizką w ręku Pobiedonosikow. Usiłuje przymknąć ramieniem drzwi, ale Pola otwiera je naoścież i wybiega na platformę. Kładzie rękę na walizce.

Pola: Więc cóż? Mam tak zostać?... To nie zabawne!

Pobiedonosikow: Proszę cię, przerwij tę rozmowę. Co to za familijne filisterstwo! Każdy lekarz ci powie, że dla mojego, właśnie mojego, a nie twojego, wytchnienia konieczne jest, abym się wyrwał ze zwykłego środowiska. No, więc jadę, aby odświeżyć ważny dla państwa organizm, pokrzepić go w rozmaitych górskich miejscowościach.

Pola: Wiem przecież, no, widziałam, że ci przyniesiono dwa bilety. Mogłam przypuszczać... No, w czym, w czym ci ja przeszkadzam? Zabawne!

Pobiedonosikow: Daj spokój tym filisterskim wyobrażeniom o wytchnieniu. Ja nie mam czasu na kajakowanie. Te drobne rozrywki dobre są dla rozmaitych sekretarzy. Płyń, moja gondolo! Ja płynę nie gondolą, ale nawą państwową. Nie jadę na opalanie się. Zawsze rozważam sytuację aktualną, a potem tego... referat, sprawozdanie, rezolucja — socjalizm. Zgodnie z moją pozycją społeczną należy mi się prawnie stenografistka.

Pola: A kiedyż ci ja przeszkadzałam w twojej stenografii? Zabawne! No, dobrze, przed innymi możesz udawać świętego, ale po co mnie oszukujesz? To nie zabawne? Czemu mnie używasz jako parawanu? Puść mnie, na miłość boską, i stenografuj sobie choćby przez całą noc! Zabawne!

Pobiedonosikow: Tssss!!!! Jeszcze mnie skompromitujesz swoimi niezorganizowanymi, a zwłaszcza religijnymi okrzykami. „Na miłość boską". Tsss!!! Na dole mieszka Koźlakowski, który może powtórzyć Pawłowi Pietrowiczowi, a ten bywa u Siemiona Afanasjewicza.

Pola: Co tu ukrywać? Zabawne!

Pobiedonosikow: Ciebie, ciebie należy ukrywać, ukrywać twoje babskie, mieszczańskie, dekadenckie nastroje, które zadzierzgnęły tak nierówny związek. Zastanów się chociażby w obliczu przyrody, na której łono wyjeżdżam. Zastanów się! Ja — i ty! Teraz minęły już te czasy, kiedy wystarczyło iść razem na zwiad i spać pod jednym płaszczem żołnierskim. Ja wspiąłem się po drabinie umysłowej, służbowej i mieszkaniowej. Ty też musisz się dokształcać i dialektycznie lawirować. A co ja widzę na twojej twarzy? Przeżytki minionej epoki, pęta przeszłości!

Pola: Przeszkadzam ci? W czym? Zabawne! Toś ty ze mnie zrobił oskubaną kwokę.

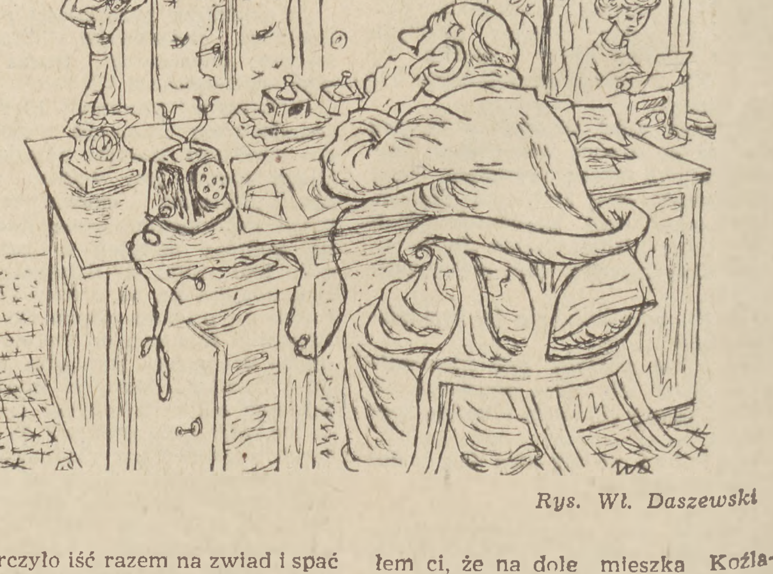
Pobiedonosikow: Tsss! Dość tej zazdrości! Sama wałęsasz się po cudzych mieszkaniach. Komsomolskie przyjemnostki, tak? Myślisz, że nie wiem? Nawet absztyfikantów nie mogłaś sobie dobrać odpowiednich do mojej pozycji społecznej. Wszeteczny ssak płci żeńskiej!

Pola: Zamilcz! To nie zabawne!

Pobiedonosikow: Tsss! Powiedziałem ci, że na dole mieszka Koźlakowski. Wejdźmy do mieszkania. Trzeba z tym wreszcie skończyć!

(Wpycha Polę do mieszkania i zatrzaskuje drzwi. Na dolnych schodach pojawia się Welocypedkin. Za nim Cudaków obarczony niewidoczną maszyną, którą podtrzymują Dwojkin i Trojkin.)

Welocypedkin: Energicznie, towarzysze! Jeszcze z dwadzieścia stopni! Nieście ostrożnie! Ażeby znowu nie



Rys. Wł. Daszewski

---

*) Fragmenty aktu II i III oraz omówienie „Łaźni" zamieściliśmy w poprzednim 33 (125) n-rze „Nowej Kultury". (Red.)

R Y S Y

energii poświęciła pielęgnowaniu dziecka. Sprawa jej świetlic nie była jednak przegrana. Powolutku, powolutku zmieniają się wnętrza świetlic, choć daleko im jeszcze do tego, by były ładne. Anna chce się uczyć, sama mówi, że nigdy nic nie umiała. Jak można być dobrym dziennikarzem, pouczać innych, gdy samemu tak mało się wie? W Warszawie włóczyła się po kawiarniach, w których wysiadywali sławni wtedy literaci. Ich towarzystwo imponowało jej, przynosiła stamtąd mądrości, których sama nie rozumiała, których nie rozumiano w redakcji, ale też dlatego uważano za mądre. W rzeczywistości były to głupstwa, wypociny mieszczańskich dekadentów, aforyzmy dla waluciarzy, poezja dla rozparcelowanych hrabianek.

— Starano się rozjaśnić mi w głowie, ostrzegano mnie, ale ja głupia uważałam, że to tylko dlatego, że się podobam. Kim był dla mnie robotnik? Jakimś dalekim *obiektem*, o którym się mówiło, za którego się rozstrzygało, co chce, co woli, czego potrzebuje. Teraz robotnikiem jest mój mąż. Byłabym nieuczciwa, gdybym twierdziła, że to nie jest, że to nie było dla mnie kwestią. Pochodzi się jednak z mieszczańskiej rodziny, i pewne poglądy, pewne pojęcia pozostają, nawet... pogląd na spracowane ręce męża. Jadąc tu myślałam — zmarnujemy się oboje, nie będzie nas nic interesować, nic obchodzić... zamęczymy się. Ot, takie inteligenckie opory przed pracą fizyczną. Nie przypuszczałam, że to tak łatwo pójdzie, tak szybko i że to właściwie jest takie proste. Był czas kiedy... kiedy pogodziłam się z losem. Znasz czas kiedy się niczego nie pragnie, niczego nie chce, kiedy jest wszystko jedno... najwyżej wychować syna, to znaczy nakarmić go, ubrać, a dla siebie już nic... zaczęło się od tego, że chciałam, by wreszcie ukończyli ten dom, w którym mieszkamy teraz, a później mieszkania dla tych, z którymi zaprzyjaźniliśmy się, to egoistyczne, prawda? Nie upraszczam, ty może tego nie rozumiesz, jeździsz po kraju i nie przywiązujesz się do żadnego miejsca, widzisz, są domy, które cieszą, to są takie domy, których przed rokiem nie było, a potem z dnia na dzień widzi się, że wykopano dół, zwieziono materiał, założono fundament, potem dach, wykańczano wnętrza, potem wprowadzili się ludzie. Koło takiego domu przechodziło się, biegnąc za swoimi sprawami, a gdy się wracało, już było widać zmianę. Choćby nawet nie był ładny, choćby dach siedział na nim jak ciasna czapka na głowie, to jednak cieszy. Bo cały czas pragnęło się, by go wreszcie ukończyli i zaczęli już nowy...

Wrócił Tarkowski z roboty. Choć był zmęczony, ucieszył się z mojego przyjazdu. Później jeszcze rozmawialiśmy o jego pracy. Jest betoniarzem, wykonuje 800% normy.

Wielu jest takich ludzi, jak oni, na Nowej Hucie. Tacy którym woda sodowa uderzyła do głowy i porobili głupstwa, tacy którzy w pośpiechu, przez nieświadomość, czy też przez lekceważenie popełniali błędy nie pozwalając mieć do nich pełnego zaufania. Swojej uczciwości muszą dowieść pracą, a mogą dowieść jej na Nowej Hucie, bo jest tu dużo pracy. Na Nowej Hucie nikt się nie zmarnuje, jeśli tylko chce, może się odrodzić albo nawet narodzić na nowo. To wpływ pracy.

— Starajcie się załatwić swoje sprawy — radziłem im, żegnając się.

— Staramy się — odpowiedzieli.

Tego dnia zapoznałem się z jeszcze jednym życiorysem. Byłem ostatnim gościem w „Gigancie", jadłem kolację, gdy salę zamiatała starsza już kobieta.

Zagadnąłem ją jak dawno tu pracuje...

Pochodzi z tej okolicy, spod Krakowa. Ma nawet jeszcze cztery morgi ziemi niedaleko stąd, ale z tą ziemią to cała historia. Po śmierci matki, to jest w 26 roku, należało jej się w spadku po podziale między trzy siostry i jednego brata cztery morgi ziemi. Należało się bo matka nie pozostawiła żadnego testamentu ani przy nikim urzędowym, czy chociażby w tej sprawie obcym, nie wyraziła ustnie żadnego życzenia. Wyraziła je podobno przy siostrach, szwagrach, bracie i bratowej — żeby ziemię między siebie podzielili i jej nic nie dali. Było to o tyle prawdopodobne, ale tylko prawdopodobne, że matka jej swego czasu wyklęła ją, wypędziła z domu. Poszło o dziecko. Miała je z jednym chłopakiem, ale ten w końcu ożenił się z nią. Sprawa więc była załatwiona i córka przyjeżdżała do matki na każde święta, mieszkała w Krakowie, bo tam pracował jej mąż i matka nie traktowała jej inaczej niż innych córek. Gdy matka zachorowała, siostry nie zawiadomiły jej o tym, choć doktor w czasie choroby powiedział, że stan jest beznadziejny, i kazał zawiadomić najbliższą rodzinę. Doktor stwierdzał to kilkakrotnie na rozprawach sądowych i był to najważniejszy argument w procesie przeciwko rodzeństwu. Rodzeństwo zaś poza zgodnym stwierdzeniem, że matka wyraziła im przed śmiercią swoją wolę, opierało się na fakcie, następującym: przed kilkoma laty matka wygnała prawie wyrodną córkę. Ale — „one by się wiary świętej wyparły dla tego kawałka ziemi". Rodzinie Wilkowskiej chodziło w tej sprawie tylko o ziemię, a jej samej poza ziemią — o dobre imię córki. Proces ze zmiennym szczęściem, z procesami pobocznymi o krzywoprzysięstwo toczył się od roku 1927 do 1952 a więc dwadzieścia pięć lat. Wygrała go Wilkowska przed trzema miesiącami. Już ostatecznie.

Mąż Wilkowskiej pracował w Krakowie jako robotnik magistracki, umarł tuż po wojnie, z tego tytułu ma ona małą emeryturę. Wychowała szczęśliwie pięcioro dzieci i jest z nich bardzo zadowolona. Najstarszy syn, ta przyczyna matczynej klątwy, ukończył akademię górniczą i pracuje na Śląsku, dwie córki są na uniwersytecie krakowskim, jedna studiuje farmację, druga chemię, ta jest we Wrocławiu. Jeden syn jest technikiem budowlanym na Nowej Hucie powołany teraz do wojska. Najmłodsza córka chodzi do liceum. Mieszka wraz z bratem na Nowej Hucie, wyjechała na praktykę wakacyjną. Ona mieszka przy nich, prowadzi im gospodarstwo i zagląda od czasu do czasu do córki w Domu Akademickim w Krakowie, odwiedza syna w Katowicach i drugą córkę we Wrocławiu. Opierze ich, poceruje... „bo to młode, to nie potrafi tak i czysto, i dokładnie zrobić koło siebie jak ja, choć stara".

— A dlaczego pani pracuje? — zapytałem.

— A bo teraz przez dwa miesiące jak nikogo nie było w domu, to mi się nudziło bez roboty, zgodziłam się. Jak wrócą, to podziękuję za robotę, bo bym nie dała rady. I w domu zrobić i tu pracować, za stara już jestem.

— A podoba się pani w Nowej Hucie? — zapytałem.

—Co się ma nie podobać? Co dzień to coś nowego. Tak by człowiek chciał pożyć jeszcze ze trzydzieści lat, żeby zobaczyć jak to wszystko będzie gotowe.

— Przecież wcześniej będzie gotowe.

— Ja wiem, ja wiem, ale tak bym sobie chciała pożyć.

— A do tej ziemi, którą pani wyprocesowała, nie wraca pani?

— Ziemię zostawiłam bratu, bo on z nich wszystkich jeszcze najlepszy jest, a wrócić nie wrócę, bo po tylu latach to by mnie tam zagryźli. Rozdzieliła nas, panie, ta ziemia. Do śmierci już.

Gaszono światła i kierownik sali głośno oznajmił „Zamykamy". Zapłaciłem i pożegnałem Wilkowską.

Na plac zajeżdżały ostatnie autobusy z Krakowa, ludzie wysiadali z nich prędko i śpieszyli do domów lub do Hoteli Robotniczych, zależy kto gdzie mieszka.

Zauważyłem Basiora z narzeczoną, jak wracali obładowani pakunkami. On niósł ostrożnie wielkie pudło. Kupili sobie radio.

Minęła mnie jeszcze kobieta z dzieckiem na ręku, która się widocznie zagadała u sąsiadki, bo dzieciak był senny i grymasił. Mógł mieć najwyżej dwa lata i zauważyłem w świetle ulicznej lampy, że ma niebieskie oczy. W oddali słychać było podniesione głosy i szum motorów pracujących na kombinacie. Nocna zmiana. Bliżej z otwartych okien słychać było głosy rozmów i radia. Warszawa nadawała koncert fortepianowy, poznałem c-moll Mozarta, (jak mi później powiedzieli koledzy grał Edwin Fiszer, uważam go za najlepszego obok Michelangeli-Benedetti wykonawcę Mozarta).

Włóczyłem się jeszcze długo po Nowej Hucie wspominając swoje dawne marzenie. Wraz z Janką woziliśmy wtedy dwa razy w tygodniu bibułę na trasie Warszawa—Kraków. Jedyny możliwy pociąg odchodził z dworca Wschodniego w nocy, grubo po godzinie policyjnej. Trzeba było czekać kilka godzin na dworcu lub przepętać się po peronach. Ja osobiście wolałem to ostatnie niż siedzieć w ciasnej poczekalni o jednym wyjściu. Pociąg przyjeżdżał do Krakowa rano. Opisać tę podróż, uczucia inne za każdym razem, podobne, ale niepowtarzalne, opisać te tysiące drobniutkich, charakterystycznych szczegółów i faktów, z których każdy był ważny, bo mógł decydować o życiu, niesposób.

„Bibułę" odwoziliśmy na ulicę Basztową, który numer już nie pamiętam. Po Warszawie Kraków wydawał się spokojnym, aż za spokojnym miastem. Ludzie siedzieli na ławkach, włóczyli się po plantach. Nigdy nie udawało nam się chodzić tak leniwie i tak bez celu, jak to robili krakowianie, by się od nich nie różnić. Uciekaliśmy za miasto, przeważnie w stronę kopca Kościuszki. Dojeżdżało się tramwajem do końcowego przystanku na Salwatorze. Przed posępnym klasztorem, na małym i rzadko odwiedzanym placyku leżały stosy rur gazociągowych, zwiezionych tu chyba jeszcze przed wojną. Zostawialiśmy tam paczki z „bibułą", bo było zupełnie nieprawdopodobne, by ktoś tam czego szukał i szliśmy w pola. Mając dużo czasu zapełnialiśmy go rozmowami o przyszłości. Czas schodził wtedy szybciej. Wiedzieliśmy, że przyszłość nie będzie lekka ani dla nas, ani dla innych. Opowiadaliśmy sobie o miastach, które powstaną i będą piękniejsze od wszystkich innych.

Czasami siadaliśmy w milczeniu nad brzegiem Wisły dużo węższej tu pod Krakowem niż w Warszawie. Za Wisłą na lewo od zachodzącego słońca były góry. Nie widziałem ich wtedy i nawet z opowiadań Janki, która je znała, trudno mi je było sobie wyobrazić. Ułożyliśmy, że potem pojedziemy tam razem, tak jak wszystko, jak całe nasze życie odkładaliśmy na „potem" i że wszystko będziemy robili razem. Żadne z nas nie wyznawało sobie miłości, ale też nie potrafiło wyobrazić sobie inaczej życia ani innego życia jak to, które jest teraz.

Będąc ostatnio w Krakowie pojechałem na Salwator wraz z żoną. Towarzyszył nam wtedy krytyk. Dowodził, że czasy nasze nie nadają się do wielkich epopei, gdyż życiorys ludzki zamyka się w kilku, właściwie bardzo zwykłych faktach, szczególnie życiorys ludzi młodych: urodził się, tak czy inaczej przeżył okupację, uczył się, pracuje — nie ma wielkich życiorysów. Nie zgadzałem się z nim. Zajęty dyskusją nawet nie zauważyłem, że stos rur zmalał, a wokół widać było rozkopaną ziemię. Zakładano gazociąg. Nie wiem, czy komuś zdarzyło się, żeby mógł oglądać, dotykać tak jak ja teraz—domów Nowej Huty, własnych marzeń. Może ten kto marzył o mieszkaniu, o domku, tak jak Basior przeżywał podobne uczucie.

Zarzucają mi, że jestem pesymistą, że nie widzę nic dobrego a tylko samo zło, że krytykuję wtedy, gdy można, gdy jest co chwalić. A ja chcę tylko, by moje marzenia były piękniejsze niż są.

Józef Kuśmierek

N I A*)

schował się za sekretarzy i papierki. Niech ta bomba czasu eksploduje u niego w mieszkaniu.

Cudakow: Boję się, że nie zdążymy donieść. Omyłka o jedną dziesiątą sekundy da różnicę całej godziny, licząc według naszego czasu.

Dwojkin: Czujesz, jak części nagrzewają się pod ręką? Szkło kipi.

Trojkin: Po mojej stronie listwa rozżarza się do niemożliwości. Piec, słowo honoru, że piec! Z trudem powstrzymuję się, ażeby nie puścić ręki.

Cudakow: Ciężar maszyny zwiększa się z każdą sekundą. Mogę niemal zaręczyć, że w maszynie materializuje się jakieś obce ciało.

Dwojkin: Tow. Cudakow, walcie szybciej! Nie można już jej dłużej utrzymać. Ogień niesiemy!!!

Welocypedkin: (Podbiega i podtrzymuje, parząc się) Towarzysze, nie ustępować. Jeszcze dziesięć lub piętnaście stopni, to już tutaj, na górze. O cholera, piekielny płomień. (Odrywa oparzoną rękę).

Cudakom: Dalej dźwigać niesposób. Widocznie pozostają tylko sekundy. Prędzej! Choćby do platformy! Rzućcie tutaj!

(Z drzwi wybiega Pobiedonosikow. Najpierw je zatrzaskuje, a potem puka do nich. Drzwi otwierają się, staje w nich Pola.)

Pobiedonosikow: Ty się, rzecz jasna, nie denerwuj... Pamiętaj, Poleczko, sama to możesz zrozumieć, że nasze życie zależy tylko od twojej dobrej woli.

Pola: Od mojej? Sama!? To nie zabawne!

Pobiedonosikow: A propos, zapomniałem schować browning. Pewnie mi nie będzie potrzebny. Schowaj go, proszę. Pamiętaj, że jest nabity i że wystarczy odsunąć tylko bezpiecznik, aby wystrzelił. Do widzenia, Poluś!

(Zatrzaskuje drzwi, przyciska ucho do dziurki od klucza, podsłuchuje. Na dolnych schodach pojawia się Mezaliansowa.)

Mezaliansowa: Nosek, czyś już gotów?

Pobiedonosikow: Tsss!

(Łoskot, eksplozja, wystrzał. Pob. otwiera drzwi i pędzi do mieszkania. Na dolnej platformie płomień fajerwerku. Tam gdzie postawiono aparat, stoi świecąca się kobieta z papierem z świecącymi się literami. Ogólne osłupienie. Lśni słowo „Delegacja". Wyskakuje Optymistenko, podciąga spodnie w biegu, ma pantofle na bosych nogach, jest uzbrojony.

Optymistenko: Gdzie? Kogo?

Fosforyczna kobieta: Witajcie, towarzysze! Jestem delegatką 2030 roku. Na dwadzieścia cztery godziny jestem włączona w czas obecny. Czas krótki, zadania olbrzymie. Sprawdźcie moje pełnomocnictwa i poinformujcie się.

Optymistenko: (Rzuca się ku delegatce, wpatruje się w delegację, mamrocąc pośpiesznie tekst) „Instytut historii powstania komunizmu..." Tak... „Upoważnia się..." W porządku... „Selekcja najlepszych..." Jasne... „dla przerzucenia w epokę komunizmu..." Co się dzieje! Co się dzieje, Boże miły!... (pędzi do góry po schodach).

(Na progu zjawia się rozdrażniony Pobiedonosikow.)

Optymistenko: Tow. Pobiedonosikow, do was delegat z centrali.

(Pobiedonosikow zdejmuje kaszkiet, upuszcza walizkę, przebiega z zakłopotaniem oczyma delegację, po czym pośpiesznie zaprasza ruchem dłoni do mieszkania. Szeptem do Opt., potem do fosf. kobiety.)

Pobiedonosikow (do Optymistenki) Poinformuj się tam, wiesz u kogo, czy to możliwe, czy zgodne z etyką partyjną i dopuszczalne, aby ateista wierzył w takie nadnaturalne zjawiska.

(Do fosforycznej Kobiety) Jestem oczywiście poinformowany o tej sprawie i okazałem wszechstronną pomoc. Wasze kompetentne organy dały dowód nie lada jakiej orientacji, kierują się do mnie. Rozpracowujemy już to zagadnienie na komisji i skoro tylko otrzymamy dyrektywy od kierownictwa, uzgodnimy je z wami. Proszę przejść prosto do mego gabinetu, nie zwracając uwagi na pewne filisterstwo, wynikające z nierówności kulturalnego poziomu małżeństwa. (Do Wel.) Proszę! Mówiłem wam przecież, ażebyście przyszli prosto do mnie!

(Pobiedonosikow puszcza przed sobą kobietę fosf., która stopniowo ochładza się i zyskuje wygląd normalny.)

Pobiedonosikow: (do Optymist. który podbiegł). No co, co?

Optymistenko: Oni się śmieją i mówią, że to wykracza poza granice ludzkiego rozumienia.

Pobiedonosikow: Ach, za granicę! A zatem trzeba uzgodnić z Biurem Współpracy z Zagranicą. Każdą najdrobniejszą rzecz trzeba im tłumaczyć. Sami nie umieją przejawić najmniejszej inicjatywy. Towarzyszko Mezaliansowa, stenografię odkładamy. Proszę iść na górę celem nawiązania nadprogramowych kontaktów kulturalnych.

Streszczenie aktu V-go i VI-go

Jako ochotnicy do podróży w wiek XXI zgłaszają się oczywiście Pobiedonosikow, Mezaliansowa, Optymistenko, Iwan Iwanowicz, Pond Ketach. Na szczęście maszyna czasu dokonuje automatycznej selekcji: przewozi ona w przyszłość tylko tych, z których coś się ostanie po stu latach, a więc wynalazcę, komsomolców, maszynistkę Underton i nawet szlachetnego defraudanta, Noczkina. Pobiedonosikow — wyrzucony wraz ze swą kompania przez maszynę czasu — zwraca się do widzów z żałosnym zapytaniem: „Czyżby... autor chciał przez to powiedzieć, że ja — i mnie podobni — jesteśmy niepotrzebni dla komunizmu?"

tłumaczył **Artur Sandauer**

ROBERT MENDE

M Ó J T A T O

Urodzony: drugiego dnia Chanuki, 1893.
Zmarł: szóstego września 1951 r.

1

Jako dziecko
miałem dziecięce pojęcie o miarze.
Co sięgało od ziemi do oczu
to było duże.

W stosunku do Taty
całkowita lojalność.
Ale wszyscy patrząc odczuwali
to jako smutny fakt:
Tato nie sięgał pięciu stóp i trzech cali.

W miarę jak rosłem
Tato rósł ze mną.
Jego miarą były nie stopy, lecz czyny.
Choć i tu Tato nie miał dość siły,
by sprostać wymogom jakiegoś niezwykłego czynu.

Bo w who's who naszego narodu
szczytem zawodu
wychwalanego,
czczonego,
otoczonego najwyższym podziwem
jest przedsiębiorca lub mąż stanu,
adwokat, lekarz, profesor wydziału —
oto kilka zawodów tytułem przykładu.

Ale w tej grubej księdze sławy
nawet skrupulatny i ciekawy
badacz
nie znajdzie krawca.

A jednak mój Tato zasłużył
na jakąś piśmienną pochwałę.
Był on najszybciej szyjącym na maszynie
w narodzie swoim.
Gdziekolwiek pracował,
tam warkot znajomy rozbrzmiewał:
„U Beńka maszyna Singera śpiewa".
Przez prawie całe jego życie
warkot ten nie ustawał:
„Beniek i Singer to cały warsztat".

Dążąc poprzez jego dzieje,
dzieje ściegów i szwów,
aż do jedenastoletniego palucha
na pedale starego Singera,

Idąc za wielkim pochodem
marzeń o Ameryce,
który w młodości Beńka
przebiegał Galicję,
słyszymy:

„Beniek, ja wiem, ja osobiście
słyszałem od ludzi. Ameryka to
Ziemia Obiecana.
Wszyscy, co tam jadą, bogacą się.
W Ameryce potrzebujesz tylko jednego —
kieszeni".

2

Tedy ojciec przybył
na zapluskwionej pryczy morskiego pudła,
emigranckiego statku (pirackie zyski),
na obierzynach ziemniaczanych zupa.

Przybył wypompowany przez morskie fale,
Lecz pełne bogactw były jego palce.
A rok był 1911.
I właśnie w tym roku Ziemi Obiecanej
Tato przywiózł swe ręce kwalifikowane
tak wysoko.

„Jakżeż się wiodło
w tych pierwszych dniach, Tato?"
Tata się uśmiechał, był pełen pogody,
bo przeszłość jest przyjemna,
bo... upłynęło dużo wody.

„To był raj!
W starym kraju zarabiałem jedynie
siedem dolarów na tydzień, z łóżkiem i jedzeniem.
Za to tu, ho, ho!
To był raj.
Pracowało się ściśle wedle zegara,
Tyle, że zegar chromał i nie miał
Wskazówek wcale.
Czternaście, piętnaście godzin dziennie
przez sześć dni.
A jak z zapłatą?
Dolara tygodniowo, wyżywienie i spanie.
A wyżywienie?
Kasza hreczana, kasza hreczana i kasza hreczana.
I na zmianę
Jasiek z kaszą hreczaną.
A spanie?
Na podłodze, na stosie ścinków.
Niektórych śpiących krawców
Szczury pogryzły w twarz. Ale ja
miałem szczęście.
Nigdy mnie szczur nie ugryzł w twarz,
lecz ugryzł w palec u nogi.
To był raj".

Tato miał dwadzieścia lat;
w Nowy Jorku — 1913
Tato był zielony, związki się rozrastały.
Tato potrzebował chleba więcej; 90 000
pracowników krawieckich potrzebowało
chleba więcej.
Tato pikietował:
strajkował cały Nowy Jork.

Czyś wygrał, Tato?
Mój synu, jak robotnicy trzymają razem,
to pryncypałowie się poddają".

Z wielką radością powitano
rok 1913,
bo został wygrany
pięćdziesięciotrzygodzinny tydzień pracy.

3

Czterdzieści lat na chodzie.
Czterdzieści lat szycia.
Czterdzieści lat siedział pochylony.
Czterdzieści lat.

Ileż to szpulek nici?
Ileż to igieł nawleczonych w życiu?
Stos ubrania uszytego przez Tatę
sięga wyżej niż wieża.
To dla ćwierć miliona ludzi odzież.

Umrzeć musi każdy.
Z moich ócz łzy gniewu się polały.
Tata obrabowany został z siedmiu lat życia.
Przeciętny wiek sześćdziesiąt cztery i więcej.
Dlaczego nie mógł dożyć sześćdziesięciu?

Co Mu ukradło te lata?

Pamiętam...
Trzydzieste lata...
Robotnik wysoce kwalifikowany
żebrze o pracę,
lecz pracy nie ma.
Fundusz Zapomogowy —
człowiek się czuł jak pasożyt.

Pytania i pytania,
którym trzeba stawić czoło.
To straszne uczucie,
że jesteś oszustem,
jeśli wszedł kontroler
i przyłapał na gotowaniu
kawałeczka mięsa.

Co mu ukradło te lata?

Pamiętam...
Wysoko płatnym wrzaskiem
odmówiono Tacie łaski
Ubezpieczalni Społecznej.
Jak głosi cnotliwa nauka:
„Lepiej dmuchać niż chuchać",
Lecz biedaków to nie dotyczy,
choroba musi być w pełnym rozkwicie.
Na wyleczenie z wszystkich chorób
dany jest czas, czas bez zarobków.
Chleb czy honorarium lekarskie.
Zaczekaj.
Jest późno,
Za późno.
Walka, aby sprostać
rachunkom lekarza i sklepikarza.
Walczyli,
by nie przekroczyć budżetu:
drogerzysta w miejsce lekarza.

Co Mu ukradło te lata?

Pamiętam...
Przeludnione
ubogo wyposażone
miejskie szpitale,
łóżko przy łóżku
chory przy chorym, jęk przy jęku,
noce bez pielęgniarek,
czas lekarza posiekany na małe kawałki,
jedno zerknięcie na ciebie,
jedna pigułka dla ciebie
tak wiele do zrobienia,
a do roboty niewielu.

Co Mu ukradło te lata?

Pamiętam...

4.

Umarł w miejskim szpitalu.
Zakład pogrzebowy wschodniej dzielnicy.
Pogrzeb czwartej klasy.
Tania świerkowa trumna.
Cmentarz nad Jersey.
Tak niewielu o tym wiedziało.
Jednak Tatko jest w moim who's who.
Gdyby to kogo interesowało
„Co twój ojciec robił?"
W jednym zdaniu opowiem mu całą historię:
„Mój ojciec dawał ludziom ciepło".

Tato,
przyrzekam Ci:
syna mojego, który będzie
nosił Twe imię,
będę uczył
używać oczu,
by umiały
dostrzegać wielkość
w ludziach małych.
Spoczywaj w pokoju,
mój Tato.

Przełożył **Stefan Flukowski**

RECENZJE POETYCKIE

JACEK TRZNADEL

„KWATERA I PRZYSTAŃ" Edwarda Fiszera

Dużą część tomiku swoich poezji*) poświęcił Edward Fiszer utworom o tematyce „morskiej", związanej z życiem wybrzeża. W cyklu „Wiosny nadmorskie" znajdziemy echa polskiego osadnictwa na tych ziemiach, pracy na nowych, polskich Żuławach, pracy stoczniowców, ujęcie problemów nowej świadomości ludzi „morskich". W takich najlepszych utworach, jak np. „Marynarzom na zachodnie rejsy", autor angażuje się w walkę o pokój, ukazuje walkę dokerów zachodniej Europy odmawiających wyładunku imperialistycznej broni:

Do groźnych portów płyniesz,
marynarzu,
Poznasz tam ludzi mocniejszych
od stali,
Co w gniewnych garściach łamią
broń zbrodniarzy,
By nie ubarwić krwią
rodzinnej fali.

Poeta włącza życie wybrzeża w twórczy wysiłek całego narodu nad budowaniem nowej rzeczywistości. Wiele jest w tych wierszach szczerego autorskiego zaangażowania w obserwacji świata i życia — ludzi poprzez pryzmat dokonujących się zmian — zaangażowania w sprawy budującego się socjalizmu. Często autor dochodzi do dużej bezpośredniości wyrazu w takich np. utworach, jak „Lipcowa żegluga", gdzie przekonywająco ukazał związek „ludzi morza" i „ludzi lądu" razem tworzących plan i nowe życie.

Są również jednak w cyklu utwory, w których autor nie potrafił dać nowych obrazów nowej rzeczywistości. Obserwacje autorskie nad życiem ludzi wybrzeża zostały ujęte nierealistyczne, w tradycyjne, dość oklepane schematy autonomicznej egzotyki „morskich spraw" i „morskiej psychiki", np. wiersz „Który to wieczór, matko...." — impresyjny, opisowy obrazek psychologiczny, lub dosyć formalistyczny utwór „Noc na brzegu", czy opisowy, banalny tematycznie — „Z małego portu". Przeważnie zresztą są to wiersze najwcześniejsze w zbiorze (1947, 8) i to tłumaczy w jakiejś mierze ich schematyczny tradycjonalizm.

Cykl „Notatnik żołnierski z wojny 1939 — 1945" objął wiersze poświęcone dość migawkowym zresztą wspomnieniom lat wojny. Zwróćmy uwagę na utwory o ludziach radzieckich, jak np. „Spotkanie za Odrą", „Jurij Gromow". Skupienie zainteresowania autora na tych właśnie bohaterach wojny przeciw faszystom wyznacza słuszną ideową tendencję czy to w wierszu o kierowcy, który prowadził wóz od Rżewa do Berlina, czy o towarzyszu radzieckim, dodającym innym otuchy w niemieckim obozie (Jurij Gromow). Odczytujemy tu pochwałę prostego męstwa ludzi radzieckich. Z tegoż cyklu należy wspomnieć jeszcze o ważnym utworze „Pamięci Władysława Seweryna". W przekonywającym obrazie ukazuje poeta wciąż jeszcze toczącą się w kraju walkę klasową. Nauczyciel, który padł z ręki faszysty, symbolizuje jednak zarazem siłę partii, która jest promotorem socjalistycznych przemian rzeczywistości. Styl w tym utworze jest oszczędny i skondensowany, charakterystyczny dla najlepszych artystycznie wierszy Fiszera:

Kona Nie darmo zbirom
Na zbrodnię hasła dali:
„Kultura — odbezpieczyć!
Oświata — serią walić!"

. . . .

W kogoś mierzył, zabójco?
Pamiętaj: od tej chwili
Zwyciężą zastrzeleni,
Padną, którzy zabili.

Również powstały w ostatnim okresie cykl „Z podróży po Czechosłowacji" zawiera utwory, w których poeta stara się mówić o nowych sprawach współczesności. Wiersz o szeregowym aktywiście przełamującym trudności, pracującym nad ludźmi, którzy przecież „wyrosną" (Rozmowa z aktywistką) — zawiera akcenty wyznaczające drogę autora do zrozumienia istotnych problemów nurtujących świadomość przodujących ludzi naszego czasu.

Jeśli dotąd pisałem o wspólnych zaletach większości utworów Fiszera raczej od strony tematycznej, jak chęć szczerego związania się ze sprawami istotnymi, ważnymi ideowo i politycznie w przetwarzającym się nowym życiu — to trzeba również uważnie zanalizować te ich błędy, które obniżają wybitnie ich realizm i wartości ideowe, ich funkcję agitacyjną w najszerszym tego słowa znaczeniu. Pierwszy i najważniejszy z tych błędów to optymizm tego rodzaju, który przesłania — nie w pojedynczych utworach może, ale na pewno w tonie całego zbiorku — istotne trudności naszego czasu. Są to zarówno trudności budowy socjalizmu w kraju, jak i groźny cień padający od przygotowującego burzę wojny faszystowskiej imperialistycznego Zachodu. Te problemy w utworach Fiszera nie uzyskują należytego wyrazu. (Charakterystyczny jest z tego względu wiersz programowy zbioru „Ziemio"...). Utwory Fiszera są z zamierzenia autorskiego polityczne, ale zbyt często gubią ostrość politycznego spojrzenia. Zbyt dużo tu zadziornej zuchwałości:

Starczy szczęścia. Na ziemi,
na morzu...
— Nie cień skóry, lecz
serce klasy —
Tylko takim nie starczy,
co grożą,
Z nich zostanie pył na
drogach naszych.

Ten fragment obniżył wartość jednego z lepszych zresztą utworów. Cechy nieusprawiedliwionego, łatwego, bo zbyt płytkiego optymizmu, są wyraźne prawie w całym tomiku. Uchylają się od niego takie np. utwory, jak cytowane wyżej „Na śmierć Władysława Seweryna", „Marynarzom na zachodnie rejsy". Zresztą, jak pisałem, charakterystyczny tu jest ogólny ton zbiorku. Wadą tych wierszy jest nie tylko łatwość, z jaką ludzie pokonują trudności, jeśli już zostały one jakoś ukazane. Często nie pokazują one w ogóle sprzeczności życia, tworzenia się nowego w uporczywej walce ze starym — są statyczne. I dlatego właśnie dają tak często obrazy dość powierzchowne.

Gdzie spojrzeć, bracia,
serce rośnie.
Co mówię? Miasto rośnie wyżej!
Bałtykiem idzie flota chyża
Z pełnym ładunkiem pomyślności.
(„Wiosny nadmorskie")

Nie wyczuwamy tu gorączkowego rytmu pracy, walki o plan dla Pokoju. Za mało trudnego przełamywania spraw świadomości. To właśnie pozbawia wiersze Fiszera zbyt często emocji i pasji, wewnętrznego żaru, to sprawia, że obrazy nie mają przekonywającej siły artystycznej. Autor nie wnika w wewnętrzny sens faktów, nie nadaje im odkrywczej świeżości, nie ukazuje często poza faktami za pomocą ładunku emocjonalnego czy opisowego ich historycznego znaczenia.

Postawa ta pozwala na takie obojętne ideowe opisy, jak np. w wierszu „Wieczorem" (cykl „Z podróży po Czechosłowacji"):

Przez krystaliczne paciorki
Ulica jarzy się, mieni.
W pasażach gwar spacerowy
Brzmi jak łagodne zdziwienie.

W tym kontekście charakterystycznym dla całego utworu, nie wydobywającym nowych cech życia stolicy ludowej Czechosłowacji, doczepiona jedna zwrotka o „pamiętnym lutym" brzmi fałszywie — nie przekonuje. Podobnie rozleciał się wiersz „Wycieczka po starej Pradze", w którym brak zdecydowanej linii ideowo - artystycznej. Uwagi interpretujące historię miasta mieszają się z elementami obojętnymi, traktowanymi opisowo, całość zbudowana jest z fragmentów nie połączonych ze sobą organicznie.

Czasem brak utworowi właściwej atmosfery, tonu, w jakim powinien być ujęty opisywany fakt. Może to prowadzić aż do zniekształcenia ujmowanego przez pisarza obrazu. W wierszu „Kwatera przed wybuchem" dał poeta obraz „ułańskiego zawadiactwa", „ułańskich zalotów". „Woziłbym cię po odpustach" — powiada do wdowy żołnierz:

I już rozjaśnia się wdowa
I śmieje się nieprzystojnie...
Wtem! stuk o próg! to ordynans:
„Odprawa, mówią o wojnie."

Z toku utworu nie wiadomo, o jakie wojsko chodzi. Nie jest to więc satyra na sanacyjnych „ułanów". Nie jest to utwór o wojsku ludowym. Wierszyk o wojence...

Nacisk obcych ideowo wzorów widoczny jest w cyklu „Ballady dziewczęce", który mógł właściwie zostać pominięty w zbiorze.

Spróbuję podsumować uwagi. Jest w tomiku Fiszera słuszny kierunek obserwacji ,wybór tematów na ogół prawidłowy. — Autor próbuje ukazać nowe życie, budujący się socjalizm, szczerze wiąże się z przemianami zachodzącymi wokół nas — jak to wykazałem w pierwszej części moich uwag. Brak jednak głębszego ideowego ujęcia faktów obniżył realizm wielu utworów—przez powierzchowny optymizm, nieukazywanie istotnych sprzeczności rozwojowych naszego czasu. Niemniej w niektórych utworach wytyczających dalszą drogę poety daje on głębsze ideowo i artystycznie obrazy — np. „Na śmierć Władysława Seweryna", „Jurij Gromow", „Marynarzom na zachodnie rejsy".

Poeta operuje bezpośrednim komunikatywnym stylem, dąży do prostoty wyrazu, oszczędności, kondensacji obrazów. Te cechy połączone z głębszą obserwacją rzeczywistości dadzą nam na pewno jeszcze niejeden piękny utwór. Obserwacja utworów według ich chronologii świadczy o rozwoju pisarza. Na koniec drobna uwaga. Szkoda, że w zbiorku nie zamieszczono słów do pieśni Sygietyńskiego „Pochód przyjaźni", napisanych przez Fiszera. Jest to niewątpliwie jeden z najlepszych utworów poety — o tych cechach jego stylu, które starałem się wyżej zanalizować.

Jacek Trznadel

Edward Fiszer: Kwatera i przystań. Czytelnik, 1952, s. 63, 1 nlb.

WŁODZIMIERZ MACIĄG

„ODPOWIEDŹ POETY" Leopolda Lewina

Zasadniczym klimatem lirycznym zbioru Leopolda Lewina*) jest klimat „wielkiego tematu", retoryki i patetyczności. Jest to liryzm związany z przeświadczeniem o niezwykłej ważności spraw, którym poświęca się wiersze, liryzm niewątpliwej dumy ideowej, liryzm poety stojącego na trybunie. Przypomnijmy chociażby tytuły utworów: *„Odpowiedź poety na wezwanie do czynu pierwszomajowego"*, *„Manifest warszawski"*, *„Na otrzymanie legitymacji partyjnej"*, *„1 Maja"*, *„17 stycznia"*. Lewin należy do poetów interesujących się przede wszystkim historią, jej przełomowymi momentami i sprawami, które bezpośrednio do nich można odnieść.

„Lecz póki w jakiejkolwiek ziemi,
stronie świata
Wróg-faszysta kieruje broń
w pierś mego brata,
Znienacka i zza węgła, zdradziecko,
nikczemnie,
A celując w pierś brata —
zawsze trafia we mnie;
Póki imperializmu uzbrojone ramię
Będzie ścinało dzieci w Korei,
Vietnamie,
Dzieci, które ojcowie kochają tak
samo
Jak ja mych synów kocham,
dzieci, które: „mamo"
Wołają z takim żarem jak
synkowie moi;
Póki nas ciemny los poetów
niepokoi,
Którzy w ojczyźnie własnej
ukrywać się muszą,
Lecz pieśnią swą kajdany, pieśnią
kraty kruszą,
Pieśnią, która powstaje w mroku,
w kazamatach —
Póty nie mogę pisać o kwiatach,
Póty nie będę pisać o kwiatach".

Tym wyznaniem uzasadnia poeta swoją postawę artystyczną.

Problemy wierszy Lewina są problemami generalnymi, należą więc do nich odbudowa i rozbudowa kraju, siła ideowa Partii, polsko-radzieckie braterstwo broni, Grecja, Korea, życie wodzów rewolucji. Ale tu czai się pewne niebezpieczeństwo. Wszystkie te sprawy, aby stały się przedmiotem wzruszenia, muszą przejść przez subiektywizujący pryzmat, muszą zostać pokazane jako obrazy indywidualnych a więc konkretnych przeżyć. A z tym zagadnieniem Lewin nie zawsze umie sobie radzić.

Wiele wierszy Lewina wzrusza raczej ogólną koncepcją, szczerością ideową niż konkretnym obrazem. Na przykład zwrotka z wiersza „Na otrzymanie legitymacji partyjnej":

„Otwierasz — zwyczajne słowa,
Druczek z nazwiskiem, pieczęcią,
A krwią je przypieczętował
Buczek i Pięćdziesięciu".

Podobne fragmenty znajdziemy w wierszach *„Do Władysława Broniewskiego"*, *„Pamięci poległych"*, *„Nad górskim grobem żołnierza radzieckiego"*, *„Wspomnienie z Grecji"*. Ten ostatni utwór mieści w sobie pewien ton, który jak sądzę — powinien w poezji Lewina znaleźć więcej miejsca. Jest to ton bezpośredniości, osobistego związku poety ze sprawami, o których w wierszu mówi. Szkoda tylko, że „Wspomnienie z Grecji" rozpływa się w zakończeniu, staje się niejasne i traci swój liryczny ładunek.

Osobne miejsce w tomie zajmują dwa cykle wierszy, zarysowujące pewien ciąg epicki: *„Poemat o Stalinie"* i *„Słowo o Karolu Świerczewskim"*. Sposób kompozycji jest w obu cyklach podobny, stosowany zresztą szeroko we współczesnej poezji polskiej. Polega on na wybraniu najważniejszych etapów z życia bohatera i opracowaniu ich w szeregu utworów o silnym elemencie lirycznym. Lewin wybiera więc z życia Stalina: pracę rewolucyjną w Tyflisie, okres Rewolucji Październikowej, wojny domowej, przysięgę na grobie Lenina. Odrębnością poematu jest włączenie do cyklu dwu fragmentów o faktach historycznych z dziejów ZSRR (*„Stalingrad"*, *„W kuźni pokoju"*), które postaci bohatera poematu dają szerokie zaplecze historyczne.

Podobnie do cyklu o generale Świerczewskim wprowadza Lewin *„Opowieść o trzech braciach pancernych"*, wzbogacając sylwetkę głównej postaci. W obu poematach Lewin często ogranicza się do powierzchownego, ogólnikowego przedstawienia wydarzeń. Chodzi w nich zresztą o dobrze znane fakty historyczne, które wzbogacić indywidualnym przeżyciem lirycznym jest niewątpliwie trudno. Dlatego też dążenie poety do pokazania znaczenia i wielkości obu bohaterów przez pryzmat życia współczesnych ludzi jest słuszne i niekiedy udane.

W wierszach Lewina widać staranność w doborze rymu i słowa, w układzie rytmicznym. Ale niestety w wielu wierszach zauważyć można pozostałości konwencjonalnego podawania tematu, tendencję do używania zbanalizowanych określeń, wytartych rymów. Postulaty, jakie stąd dla poety wynikają, są chyba najzupełniej jasne.

Włodzimierz Maciąg

*) Leopold Lewin: Odpowiedź poety. Państw. Inst. Wyd., Warszawa 1951, str. 63.

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

Doktor Knock umacnia swoją władzę*)

Mglista, wizyjna niejasność, skłonność do symbolizmu, z drugiej zaś strony jaskrawa przesada w inwektywach i oderwanie się od konkretu osłabiło i oskarżenie rzucone medycynie przez niemieckich poetów I wojny. Błędów tych nie popełnił autor „Knocka", powstałego w tym samym okresie i z tych samych pobudek. Romains jest naśladowcą klasycznej komedii molierowskiej, co obdarzyło „Knocka" wyraźniejszym konturem myślowym. Anarchiczni Niemcy nawiązywali do linii romantyzmu. Postać lekarza u nich ma coś z kostycznego racjonalisty, ośmieszonego w fantazjach Hoffmanna. Z drugiej strony, młodzieńcy ci ulegali autorytetowi figur które atakowali, i czytając satyry ekspresjonistyczne, raz po raz odczuwamy fascynujący urok, jaki demoniczni doktorowie wywierają na walczących z nimi poetów. W buncie swoim nie zdołali się oni otrząsnąć z wpływu gigantycznych figur, przesłaniających im cały horyzont wyobraźni.

Kpina francuska jest tymczasem cyniczna, trzeźwa i celna: w walce z „naukowcami", ogranicza się do wytknięcia nadużyć wynikłych z nadmiernego autorytetu przyznanego medycynie.

Komedia Romainsa pokazuje nam, przede wszystkim, *człowieka*, i nie wkraczając w problemy samej nauki próbuje jedynie odsłonić zakrytego jej oparami „kapłana". Autor usiłuje wykryć *mechanizm powstawania* kultu. W tym celu analizuje wypadek oderwany, niejako spreparowany w celach demonstracji — co stanowi główną słabość komedii. By przedstawić sposób organizowania „triumfu medycyny", Romains przenosi swego bohatera w miejsce, gdzie owego kultu nie ma, przez co wyrywa go ze środowiska rzeczywistego i zamieszcza w pół-abstrakcji. Zamiast sprezentować nam lekarza na tle współczesnej burżuazji, wplątanego w krąg kombinacji dochodowych, intryg, całego aparatu konwencji społecznych — komediopisarz wysyła Knocka z mieszczańską „misją cywilizacyjną" w środowisko ludowe, do małego miasteczka, oddzielonego od świata górami.

W tych warunkach twórcą i reżyserem kultu staje się sam Knock, co również zuboża zagadnienie, pomniejszając rolę nacisku „pedagogii liberalnej", w której lekarz staje się świątkiem nie tylko z własnej woli, ale i za aprobatą wieloletniej tradycji, sprzężonej — o czym była mowa — z interesami swego świata.

Zobaczmy przecież, za pomocą jakich *sposobów* Knock umacnia „panowanie medycyny". Tu wchodzimy w najcenniejszą część satyry Romainsa. Nie mając żadnej realnej siły, żadnych wpływów, żadnej znajomości, przybywając w teren gdzie było dwóch chorych w ciągu roku, w środowisko wieśniaków mających słabe pojęcie, czym są w ogóle zabiegi lekarskie, do miasteczka, gdzie jego niedołężny poprzednik nie zostawił żadnej tradycji poza wspomnieniem że był „bon compagnon" — Knock, rozporządzając wyłącznie swoim autorytetem, przystępuje do działania.

Zapewnia sobie przede wszystkim poparcie powag już istniejących, wtartych w okolicę: nauczyciela i aptekarza. „Jakto, w szkole tutejszej nie przedstawia pan śmiertelnych niebezpieczeństw, wykrytych przez naukę? Więc młodzież nie zdaje sobie sprawy, że jeden niebaczny oddech, wprowadzający do organizmu niedostrzegalne bakterie — może zgubić nas na zawsze?" Knock zmusza nauczyciela do zainicjowania w szkole wykładów „higieny" dla dzieci i dorosłych; obiecuje mu za to w przyszłości pewne korzyści, i wręcza szereg tablic pokazujących straszliwe skutki chorób. „Przede wszystkim niech pan pokazuje te kolorowe — barwy są bardzo ważne!"

Zorganizowawszy w ten sposób swój wydział wychowawczo-propagandowy, Knock udaje się do aptekarza. Stale nieodgadniony, zamknięty w sobie, o twarzy nie zmieniającej wyrazu, Knock na krótko staje się bardziej intymny, głos jego nabiera tonacji cieplejszej, w rozmowie z farmaceutą, który niejako „należy do sprawy". „Ile recept przysyłał dziennie mój poprzednik, dr Parpalaid?" „Dziennie?... pan doktor raczy żartować! Jeśli było ich pięć miesięcznie, to był dobry miesiąc..." „Pięć? Powinien mieć pan pięćdziesiąt w ciągu dnia!" Knock smutnie kiwa głową: „Mon cher confrere! (Kochany kolego!) Gdybym nie znał osobiście dr Parpalaid, jako uczciwego lekarza, powiedziałbym, że to... SABOTAŻ!"

Teraz Knock sam przystępuje do kampanii; te właśnie sceny komedii, mało docenione 30 lat temu, nabrały niespodziewanej aktualności w roku 1951, w okresie ofensywy medycyny amerykańskiej na Europę — o czym za chwilę będzie mowa. Zachowanie się Knocka ma niemal charakter proroctwa, bo medycyna liberalna nie stosowała, w czasie gdy Romains pisał swą farsę, tak jaskrawych „chwytów"; potęga jej, zakorzeniona od lat, wpojona niejako w umysły obywateli świata burżuazyjnego od dzieciństwa, funkcjonowała w sposób delikatniejszy i bardziej skomplikowany — uproszczona brutalność sposobów Knocka czyniła z niego zbyt oczywistego szarlatana i dzięki tej prymitywności komedia wydawała się powierzchowna w epoce swej premiery.

Knock operuje dwoma czynikami o sugestii psychologicznej: wykorzystuje chciwość, a następnie lęk swoich ofiar. „Chciwość" jest może słowem zbyt silnym; idzie tu raczej o jeden z mistrzowskich „tricków" handlu liberalnego, polegający na stworzeniu złudzenia, że instytucja chce coś *ofiarować* klientowi, Knock ogłasza mianowicie, że celem podniesienia zdrowotności okolicy, będzie udzielał bezpłatnych porad, ale tylko w dzień targowy w określonych godzinach.

Tutaj Romains pokazuje, jak ludzie trzeźwi i pozbawieni wyobraźni, którzy nie ulegliby kaznodziejstwu najbardziej przekonującej religii, uginają się pod autorytetem wiedzy „ścisłej", stwierdzonej doświadczalnie, niewątpliwie pewnej... Tryskająca zdrowiem zamożna chłopka, Herod-baba o twarzy jak burak czerwonej, ze skąpstwa korzystająca z bezpłatnej wizyty, musi odpowiedzieć lekarzowi na dziesiątki pytań dotyczących jej przeszłości, trybu życia, majątku... Knock tymczasem robi „notatki" pozornie fachowe, w rzeczywistości zapisuje ilość świń, krów i drobiu swej pacjentki. Połowa jej skarbów przejdzie niebawem w ręce doktora, który kurować ją będzie ze skutków upadku z drabiny przed dwudziestu pięciu laty, bo mimo swej zręczności Knock nie zdoła znaleźć bardziej konkretnego pretekstu leczenia tej zdrowej jak wół kobiety.

Mimo pozorów rzeczowości, obrządek, celebracja i zabiegi o charakterze magicznym odgrywają olbrzymią rolę w akcji Knocka. Pierwszą wskazówką, jakiej udziela doboszowi miejskiemu, jest, by zwracał się do niego przez „panie doktorze" i żeby używał stale tego terminu mówiąc o lekarzu („pan doktor powiedział..." itd). O poprzedniku Knocka mówiono: „ce vieux Parpalaid" („poczciwy Parpalaid"). Znaczenie rytuału uświadamia nam scena wizyty dwóch kpiarzy miejscowych, którzy z okazji gratisowych godzin próbują ośmieszyć doktora udanymi cierpieniami. Knock każe rozebrać się jednemu z nich, obstukuje go długo ze wszystkich stron, oślepia go latarką badając powieki, mierzy mu ciśnienie krwi specjalnym aparatem, wpycha mu metalową łyżkę medyczna do krtani itd. Chichocząca bez przerwy para kawalarzy przestaje się śmiać... Lekarz poleca szczerze teraz zaniepokojonemu pseudo-pacjentowi ubrać się i wyjść. „Ależ doktorze — proszę przynajmniej powiedzieć, co pan u mnie znalazł!" Knock wydobywa wielkie wykresy kolorowe. Na jednym przedstawiona jest wątroba zdrowa, o zaokrąglonym kształcie i normalnej barwie, obok ten sam organ obrzydliwie skurczony, siny i odrażający: to samo z sercem, nerkami, płucami... „Tak wyglądają pańskie wnętrzności. Nic nie mogę dla was zrobić. Następny... proszę się rozbierać." „Nie! nie!" — woła spazmatycznie towarzysz pierwszej ofiary; wychodzą obydwaj złamani — już się nie śmieją, Knock pokonał ich powagą aparatu rytualnego.

Łatwo zauważyć, że figury tej komedii są szablonami, pacjenci to „wystraszeni ignoranci", których już drugi raz w sztuce nie oglądamy, i nie obserwujemy postępów czynionych w ich umysłach przez wpływy nowej religii; Knock to „kanciarz stosujący zręcznie metodę nabierania", nie wiemy nic bliższego o jego przeszłości, jego charakterze, poglądach na wiele spraw. Konstrukcja dramatyczna utworu, składającego się z szeregu wizyt lekarskich, pozbawiona jest dynamiki, i nie pokazuje zagadnienia w całości, w stopniowym rozwijaniu się; w trzecim akcie oglądamy od razu Knocka w futrze bobrowym, jak zajeżdża własną limuzyną przed wielki szpital, w którym zamknął połowę ludności kantonu.

SIŁA KNOCKA: POSTAWA „NIEPRZENIKNIONA"

Mimo że trafniejsza, dobitniejsza, konkretniejsza od satyr niemieckich komedia Romainsa byłaby zapewne skazana na zapomnienie, jak dziesiątek innych dramatów tego samego autora, tym więcej że jej atak na medycynę ześlizgiwał się po powierzchni i nawet napadnięci — w roku jej powstania — 1923 — nie poczuli się nim zagrożeni (inaczej niż „Knockowie" amerykańscy, którzy w r. 1951 znaleźli w tej postaci wierne odbicie swych metod, różnych od europejskich — o czym za chwilę). Karierę swą „Knock" zawdzięcza kreacji jednego z najwybitniejszych aktorów współczesnego teatru — Jouvetowi, który „Triumf medycyny" włączył do swego repertuaru. Jouvet potrafił wyzyskać nawet wątłość literacką komedii, tj. schematyczność Knocka, i uczynił z milczącego „doktora" postać zagadkową, wieloznaczną i pozwalającą się domyślać znacznie więcej niż wynika z jego skąpych słów. W interpretacji tej Knock, przy całej swej konkretności często małostkowej, stał się niemal symbolicznym typem hipokryty-filozofa, spoglądającego na świat z mądrą i niepozbawioną życzliwości pogardą, właściwą wyższym umysłom. Bo Jouveta nie interesowało bynajmniej zagadnienie medycyny — jego Knock jest czymś więcej niż lekarzem — ale problem *obłudy*, który jest obsesją tego artysty. Krytyka była nawet zaszokowana jouvetowską interpretacją „Świętoszka", który w domu przeciętnego mieszczucha Orgona, na tle pary rozflirtowanych głuptasów i banalnych fugur domowych nabrał patosu i napięcia wewnętrznego, przewyższającego wszystko, co widzimy dokoła; klęska Tartuffa może nas nie martwi, ale budzi nieokreślony żal ze zmarnowanej indywidualności.

Podobnie dwuznaczne uczucia obudził Jouvet w widzach „Knocka"; o ile czytając komedię mamy pewność, że Knock jest szarlatanem pokroju prawie że sprzedawców jarmarcznych, wmawiających w publikę pokost do butów jako lek na wszystkie choroby, — o tyle oglądając tę sztukę u Jouveta, raz po raz szarpani jesteśmy wątpliwościami: czy Knock jest oszustem, czy mędrcem zaspokajającym potrzebę ludzi, by się nimi opiekowano — kimś z rasy wielkich mobilizatorów? Opuszczamy teatr, mając w oczach tę niepokojącą figurę w wiecznym czarnym tużurku, długą, posępną, o grymasie szyderstwa, ale i zainteresowania dla ludzi, na ustach — i nie jesteśmy pewni, czy sam Knock wierzy czy nie wierzy w zastanawiającą maksymę, którą wygłasza: „KAŻDY TAK ZWANY ZDROWY, JEST CHORYM, NIE ZDAJĄCYM SOBIE SPRAWY ZE SWEGO STANU"

„KNOCK" AMERYKAŃSKI PRZYBYWA DO FRANCJI

Nie jest może ważna postać samego „profesora" Gayelord Hausera którego książka po fantastycznym sukcesie w USA przełożona została na francuski i włoski, on sam zaś zjawił się w Paryżu jako delegat i misjonarz medycyny Nowego Kontynentu. Przedstawicielstwa tego podjąć się mogło wiele innych osób, i dla nas ciekawszym od figury doktora będzie zderzenie się „koncepcji kultowych" dwóch cywilizacji, wyszłych ze wspólnego pnia liberalizmu, ale umieszczonych na innych szczeblach rozwoju.

Otóż charakter medycyny amerykańskiej może na Francuzach zrobić wrażenie, że jakiś monstrualny „KNOCK" przybył do ich wioski. Nawet paradoksy, pół-serio przez bohatera Romainsa wypowiadane, stały się pewnikami po tamtej stronie Atlantyku. „Każdy tak zwany „zdrowy" jest chorym, nie zdającym sobie sprawy ze swego stanu". Teza ta jest przecież wersją podstawowej zasady organiza-

*) Fragmenty szkicu pt. „Dr Knock contra prof. Hauser" z poprz. numeru „Nowej Kultury".

JERZY SZYMAŃSKI

W ZWIERCIADLE OBYCZAJU

O „Fircyku" przywykło się mówić, że jest „komedią pogodnego uśmiechu". Tak to krytyka burżuazyjna odczytywała naszych realistów XVIII wieku. Tymczasem wystarczy przypomnieć, co Fircyk mówi Arystowi w I akcie, by przekonać się, że nie tylko o uśmiech tu chodziło.

„Powiedz mi, co są ludzie,
co ten świat nasz znaczy.
Jeżeli nie szulernią mieszkaną
od graczy?

W tych słowach Fircyka leży ukryta koncepcja komedii. Pisarze Oświecenia nie ograniczali się do krytyki życia swojej epoki. Większość z nich starała się również dać historiozoficzną koncepcję świata. Bardzo często, jak to było w wypadku „Fircyka", teza taka okazywała się słuszna, jeżeli chodziło o pewne sfery życia ludzkiego i określone typy ludzkie. Bo przecież nie tylko życie Fircyka było zorganizowane na obraz i podobieństwo szulerni, gdzie młody starościc mógł codziennie oczekiwać, że pójdzie z torbami, a wraz z nim i Świstak, ale i los Pustaka, sługi Arysta, zależał wyłącznie od humoru jego pana. Również Podstolinie, piękności w miarę dostojnej, prowincja mogła ofiarować za męża zarówno zblazowanego oszusta karcianego, jak i miejscowego hreczkosieja.

W „Fircyku" obserwujemy ciekawy konflikt pozorów, tak charakterystyczny dla komedii Zabłockiego. Tylko na pozór jest tu starcie pomiędzy miastem, które uosabia Fircyk, a prowincją, którą reprezentuje Aryst i częściowo Podstolina. W rzeczywistości wspólną płaszczyzną, która ich łączy, jest kosmopolityczny styl życia i atmosfera obyczajowa, w jakiej żyją. Znajdziemy tu całą skalę wad, ośmieszanych przez satyryków tych czasów. Od gry w karty aż po hulanki, wprawdzie tylko projektowane. I dlatego, pomimo kpin z Arysta, Fircyk potrafi zawsze się z nim dogadać przy kartach a obaj służący również mówią wspólnym językiem hulanek.

Pisarze Oświecenia, piętnując wady społeczne, próbowali dać również pozytywny program, chcąc rozwiązać klasowe sprzeczności swoich czasów. Rzeczywistość jednak obalała z całą konsekwencją ich marzenia. Wówczas starali się obronić tylko niektóre strefy życia. Jedną z nich była miłość. W „Fircyku" obserwujemy podobny proces. W komedii tej Zabłocki wygrał zamierzoną batalię w obronie uczucia. Zarówno Fircyk pokochał Podstolinę, a i Klarysa — pomimo podejrzenia Arysta, dochowała mężowi wierności. Prawo do uczucia stało się więc jeszcze jednym czynnikiem rozładowującym pozorne sprzeczności w dworku podwarszawskim Arysta.

Fircyk jest niewątpliwie komedią obyczajową. Wewnątrz niej istnieje coś, co można określić jako komedię śmiechu. Są to sceny, w których występują obaj służący i ich „właściciele". Te sytuacje zaostrzają komizm postaci i ich postępowania, a zarazem są to sceny, w których autor komedii poprzez usta służących szydzi z Fircyka i Arysta.



Czesław Wołłejko (Fircyk) i Andrzej Szczepkowski (Aryst).

W komedii tej Zabłocki posługuje się metodą nieporozumień sytuacyjnych, charakterystyczną dla wielu komedii Oświecenia. Chodzi mi oczywiście o te momenty, gdzie Fircyk jest przekonany, że Podstolina kocha innego, zaś Aryst przypuszcza, że Klarysa zdradza go z Fircykiem. Zabłocki przez to pragnął ująć rzeczywistość dworku podwarszawskiego w karykaturalnych wymiarach i pokazać, że dla sosjety tych lat jedyną rzeczą im drogą, jest gra miłosna.

Stąd największym zarzutem, jaki można postawić Wołłejce, jest pomieszanie pojęć o stylu gry. Gdy Fircyk w I akcie udowadnia Podstolinie, że ją kocha, to wówczas stara się być poważnym, chce przecież przekonać ją o prawdziwości swoich uczuć. Natomiast Wołłejko w roli Fircyka swoim zachowaniem podkreśla, że ją traktuje lekko. Podobny styl gry mógłby ujść w jakiejś roli z komedii mieszczańskiej, a i tu zachowanie Wołłejki trąciłoby farsą. Szczególnie widać to było przy modulacji głosu w dialogu z Podstoliną. Komedia Zabłockiego jest pisana dostojnym i eleganckim językiem. I chyba nie ma potrzeby robić z tego języka uczuć jakiejś karykatury komediowej. Wołłejko potrafił jednak sobie poradzić świetnie w akcie III, gdzie Fircyk nie udaje, lecz naprawdę kocha. Był bezpośredni, a sceny te wymagały takiego właśnie potraktowania roli. Andrzej Szczepkowski jako Aryst postąpił zgodnie z tekstem Zabłockiego, gdy dwojako potraktował swoją rolę. Był poważny i uroczysty podczas wygłaszania prowincjonalnych morałów, a takim go przecież chciał widzieć Zabłocki. Natomiast zarówno tonacją głosu, jak i mimiką podkreślał w sposób karykaturalny farsowość swego postępowania podczas gry w karty i w scenie zazdrości, jaką robi Klarysie. Skarżanka zdołała wygrać dwie zasadnicze cechy dla roli Podstoliny: wdzięk i dostojność postaci. Jej brakiem było to, że od razu starała się być kokieteryjną w stosunku do Fircyka. Nie pokazała rozwoju charakteru Podstoliny, która była przecież początkowo oburzona na warszawskiego amanta, a dopiero później zaczęła kapitulować przed jego wdziękiem. Natomiast Miecikówna zaprzepaściła pełną możliwości rolę Klarysy. Stworzyła typ zahukanego kobieciątka z komedii „małego realizmu", a przecież wiemy, że Klarysa to kokietka nie gorsza od Podstoliny. Miecikówna natomiast dała nam postać kobiety naiwnej a prostej, grała ponadto sztucznie. Janusz Bylczyński w roli Świstaka był zbyt monumentalny. Stworzył właściwie rolę półpanka. Rozumiem, że reżyserom komedii chodziło o pokazanie różnicy między sługą hulaki miejskiego a służącym półsarmaty — Arysta. Świstak był jednak za bardzo protekcjonalny wobec swego kolegi po fachu. Józef Nowak potrafił natomiast oddać całą złożoność postaci Pustaka. Obok śmieszności, a więc cechy charakterystycznej dla bohatera tej komedii, w jego głosie można było wyczuć i groźbę, gdy po spoliczkowaniu go przez Arysta mówi o tym ze złością. A to chyba świadczy o trafnym uchwyceniu całej różnorodności postawy Pustaka.

Jerzy Szymański

Franciszek Zabłocki: „Fircyk w zalotach", komedia w 3 aktach. Teatr Narodowy w Warszawie. Reżyseria Jacek Woszczerowicz i Bohdan Korzeniewski; dekoracje — Romuald Nowicki; kostiumy — Irena Nowicka.

O DOWCIPNYCH PROGRAMACH — NA POWAŻNIE

W ostatnią niedzielę lipca wybrałem się na korty tenisowe CWKS, aby ujrzeć wesołą imprezę organizowaną przez ZS „Spójnia" (chyba tak się nazywa ten klub), cyrk nr 4 i „Artos". Magnesem przyciągającym były nazwiska takich artystów jak Stefania Górska, Alina Janowska, Ludwik Sempoliński.

Znakomitego humorystę, Sempolińskiego, widziałem dwa lata temu. Śpiewał wówczas piosenkę „Ten Persja" i wygłaszał monolog pt. „Bycza zabawa". „No — myślałem sobie — po dwu latach usłyszę coś nowego, dowcipniejszego, godnego talentu artysty". I rzeczywiście. Ludwik Sempoliński wyszedł bez perskiego fezu, w którym śpiewa swą piosenkę. Ale mu zaraz ten fez podano i po raz... -nasty usłyszałem „Ten Persja" — utwór pod względem formy zbliżający się do „szmoncesów" „Lopka" - Krukowskiego, a treściwo stojący na pograniczu szmiry i pornografii. Oczywista, następnym punktem była „Bycza zabawa". Ale ja wcale nie bawiłem się byczo, bo wiedziałem co będzie dalej. Stefania Górska będzie śpiewała przedwojenne piosenki z cyklu: „Tego już nie usłyszymy" i „Takich kobiet już nie ma", a Alina Janowska zaśpiewa sentymentalną piosenkę o wietrzyku. Słuchałem i wesoły nastrój mnie opuszczał. Okazuje się, że dwa lata, w czasie których powstał Plac Dzierżyńskiego i MDM, nie wystarczają artystom „Artosu" do zmiany „żelaznego repertuaru". Wyszedłem z imprezy smutno zamyślony nad sytuacją programową w „Artosie".

W następną niedzielę wybrałem się do Teatru na Wyspie w Łazienkach, aby zobaczyć „Uśmiech Warszawy", także organizowany przez „Artos". Ale tu Feliks Szczepański dobił mnie starczym monologiem Wyrwicza o rodzinie staruszków. Zemdlałem i śniło mi się, że jestem na imprezie „Artosu", że program jest dowcipny i wnoszący jakieś treści społeczne, że widzowie klaszczą z zapałem, a „Uśmiech Warszawy" widać na twarzach wszystkich warszawiaków. Ocucono mnie i zobaczyłem, jak Feliks Szczepański kończy swój monolog, rozlegają się słabe oklaski, a na twarzach widzów wyczytać można zdumienie, niezadowolenie i uśmiechy politowania. Tylko jakaś przytulona para „kociaków" gwałtownie klaskała szczerząc nieco spróchniałe zęby.

Ale pomówmy poważnie. O złej sytuacji w „Artosie" pisano już wiele razy. Widzowie z terenu skarżyli się na niski poziom szeregu imprez „Artosu". Gdzieniegdzie stwierdzano, że już jest lepiej, że się coś robi, że program jest coraz bardziej na poziomie. Niestety, dwa opisane spektakle mówią o czymś innym. Wydaje się, iż „Artos" zapomniał o rzeczy najważniejszej — o celu urządzanych imprez, o nowym widzu, który tę imprezę ogląda. Ludzie ofiarnie i wydajnie pracujący przez cały tydzień nad budową nowego życia chcą w dniu wolnym od pracy ujrzeć dobre widowisko, usłyszeć dobre i dowcipne monologi i usłyszeć nowe, piękne piosenki. Tymczasem często to co słyszą niewiele różni się od przedwojennych programów teatrzyków typu „Qui pro quo", gdzie dreszczyk erotyczny, szmira, płaskie dowcipy o „mężusiu co kobitki lubi" rozweselały burżuazyjną publiczkę.

Czyż nie można sięgnąć do „Biblioteki Szpilek", do świetnych, naprawdę dowcipnych monologów Czechowa, do ostrych satyr Rodocia i Tuwima? Te rzeczy wzbogacają przecież nasz dorobek kulturalny i bawiąc piętnują zło społeczne. Czy nie szkoda talentów Stefanii Górskiej, Ludwika Sempolińskiego, Aliny Janowskiej, Feliksa Szczepańskiego i tylu innych, na płaskie i wyświechtane monologi i piosenki?

Jakie widziałbym drogi poprawienia obecnego stanu rzeczy? Przede wszystkim konieczne jest nawiązanie współpracy z masowymi organizacjami politycznymi i społecznymi. Pożyteczne byłoby wprowadzenie zespołu odpowiedzialnego za stronę ideologiczną wystawianych programów we wszystkich chórach i placówkach „Artosu". Należy bardziej odważnie sięgać do wspaniałych tradycji i naszej, i zagranicznej twórczości satyrycznej. Można przeprowadzić wśród czytelników ankietę.

Jeśli życzenia nowego widza zostaną w pełni uwzględnione, „Artos" spełni swoją funkcję społeczną.

Józef Rurawski

PRZEDE DNIEM

(Dokończenie ze str. 3-ej)

zapomnianych osiedlach. Usłyszeli je wszędzie i wszyscy.

— Zginęli za chłopską sprawę.

Mimo słoty i zimna przybyły na pogrzeb tłumy. Szli ciężkim, spracowanym krokiem, jakim oracze chodzą bruzdą za pługiem. Z ziemi zdeptanej stopami utrudzonych wzniosła się pieśń. Wiatr targał sztandarami, miotał orłem białym. Zdawało się, że to nie ludzie, ale ta pieśń wydarła trumny spod ziemi i ciężkie, oblepione gliną, zlane deszczem niesie na swych melodiach.

Mrowie ludzkie zaległo cmentarz. Został sam lud. Chłopi podłożyli powrozy pod trumny, ale nie mogli ich unieść, bo wdowy i matki ramionami oplotły i swoją boleścią przywaliły.

Rozległ się rozkaz:

— Otworzyć trumny. Narodowi pokazać braci pomordowanych za sprawę ludu uciemiężonego. Niech wszyscy zobaczą i zapamiętają.

Nie było młotka ani siekiery, więc pazurami oddzierali wieka.

Tłum rzucił się na kolana i patrzał bez tchu i bez słowa.

Umarli leżeli ułożeni równo, jakby w ciasnych celach więziennych, w łachmanach poszarpanych kulami, zwalani ziemią, podobni do skib przeniesionych z tamtego pola. Bosi, nędzni, spracowani. Jeden z nich owinięty zgrzebną płachtą. Na jej bieli sczerniałe, zastygłe plamy. Znać było zarysy dłoni złożonych na piersiach, właśnie pod tymi plamami, jakby zabity rękami przyciskał ranę i tamował krew. Nikt nie śmiał odwinąć tego całunu, bo może bano się, aby ran nie urazić.

Ktoś wymieniał szeptem nazwiska, ktoś drugi powtarzał głośniej. Odrywały się wyrazy tej nowej, najbardziej zbuntowanej pieśni.

— Franciszek Widzisz.
— Władysław Kucharczyk.
— Józef Ciesar.
— Franciszek Jakubiak.
— Jan Jakubiak.
— Franciszek Cyrek.
— Stanisław Bolzega.
— Andrzej Płoskonka.
— Jan Piwarski.

Ciała pomordowanych ze swych trumien przemawiały do żywych, głosiły pośmiertny manifest bez słowa, bo oni byli hasłem, pieśnią, rozkazem, orędziem nowej prawdy, za którą oddali życie, aby się stała prawdą Polski nie znającej krzywdy, ucisku, przemocy.

— Wy nam będziecie sztandarem.

Odeszli ludzie do swoich izb, na zagony, zamilkły pieśni, zostały tylko mogiły, które ukryły dziewięć trumien, dziewięć ziarn na nowe życie, które kiedyś wyrośnie z gleby zgnojonej znojem i krwią.

A może to nie ziarna, ale dziewięć pocisków zakopanych pod przyciesią ustroju opartego na krzywdzie i ucisku?

Szczawnica, 1938.

Jan Wiktor

---

cji popytu i podaży na rynku wielkokapitalistycznym: „BUDZIĆ POTRZEBY, BY JE POTEM ZASPOKOIĆ".

PRZEDE WSZYSTKIM PRODUKOWAĆ CHOĆBY BYLE CO!

Nie jest ona bynajmniej sekretem biur produkcyjnych czy dyrekcji trustów; nadużyciem wydaje się ona nam tylko, lub tradycyjnemu przemysłowi Europy, wytwarzającemu przedmioty możliwie wiecznotrwałe, które następnie należy „uczciwie sprzedać". Dla Ameryki (wiedzą o tym wszyscy Amerykanie) nie są ważne produkty, ale sam *fakt wytwarzania;* nie rzeczy, ale ich ustawiczne wyrabianie, jak najszybsze konsumowanie i wyrabianie na nowo. Miliony ton tandety, zalewającej wszystkie lądy i pochodzącej z USA, zadziwiły po wojnie świat, zaskoczony zdumiewającym faktem, że największe potęgi przemysłowe Zachodu nie stać na wytwarzanie rzeczy przyzwoitych. Tymczasem lichota jest właśnie rezultatem rozrostu produkcji, i Amerykanin od dziecka wychowany jest w zasadzie, że *nie oszczędzanie, ale zużywanie* jest czynem obywatelskim.

Niszczenie przedmiotów jest akcją patriotyczną, w której bierze udział całe społeczeństwo. Typowym był tu „znicz kapeluszów", dawny zwyczaj zanikły zresztą w okresie kryzysu. W dniu największego święta amerykańskiego „Thanksgiving day", rozpalano płonący stos wieczorem na rynku każdego najmniejszego miasteczka; wszyscy mężczyźni obowiązani są wrzucić do ognia nakrycia głowy, bez względu na stan ich świeżości; w ciągu jednego dnia przemysł filcowy i słomkowy Stanów Zjednoczonych zyskuje 70 milionów pozycji sprzedażnych, i wszyscy uważają to za budujące. Historyk kina, Lewis Jacobs, w swej książce „The rising of american film", zwraca uwagę na rolę, jaką w komedii Nowego Świata odgrywa tłuczenie szkła, łamanie różnych rzeczy i rzucanie petard. Bohaterowie filmów rysunkowych z reguły demolują całe domy, co na Europejczyku wywiera wrażenie raczej zasmucające, podczas gdy dla Amerykanina jest źródłem konstruktywnego optymizmu.

Nadmierne i nawet bezużyteczne wytwarzanie jest obsesją tego świata, który nie jest w stanie wyzwolić się z rytmu, w jaki go wpędził system bezplanowo rozwijającego się kapitalizmu. Najstraszliwszą klęską byłoby *zatrzymanie się produkcji.*

„Ameryka nie lęka się wojny, lecz kryzysu" — pisze ekonomista J. Davies, i dalej dodaje: „By uniknąć tej katastrofy, Ameryka może wywołać nawet konflikt światowy". Wyobraźnia Amerykanów dotychczas nie otrząsnęła się z wrażenia „THE BIG CRISIS", wielkiego kryzysu z lat 1929—32, który uchodzi za najtragiczniejsze zdarzenie w dziejach Stanów Zjednoczonych. Utwory O'Neilla, Clifford Odetsa i innych, nacechowane spazmatyczną i niezrozumiałą dla nas rozpaczą, odtwarzają atmosferę tych czasów. Widzimy z nich, że kryzys był klęską przede wszystkim *moralną* — gdy maszyny się zatrzymały, ów świat tak doskonale zorganizowany stracił sens bytu, stał się przeraźliwie pusty, ukrywał on dla swych obywateli zawód, który C. Odets wyraża w takich słowach: „Było to jakby w przededniu samobójstwa stu pięćdziesięciu milionów ludzi, którzy zrozumieli, że są niepotrzebni nie tylko komukolwiek, ale i sobie samym".

Lęk ten można nazwać nawet przesądnym, bo słowo „kryzys" nigdy nie zjawia się w prasie czy filmie amerykańskim, mówca który by je wygłosił, popełniłby niezręczność, w towarzystwie zaś lub na zebraniu brzmiałoby ono jak nietakt, rodzaj przekleństwa; w podobny sposób unikano w średniowieczu wyrazu „szatan", zaś w drugiej połowie XIX wieku w całej Rosji i środkowej Europie, w okresie wielkich epidemii, wypraszano za drzwi kogoś, kto użył słowa „cholera".

Produkować — sprzedawać — znów produkować — nawet jeśli to nie jest potrzebne! Podobnie i medycyna amerykańska rozwinęła się tu w postaci olbrzymich kampanii produkcyjno-handlowych. Bierze w nich udział całe społeczeństwo, pełne dobrej woli i „we własnym interesie" chętnie dostosowujące się do kilku prostych, z impetem rzuconych haseł.

SPANIE I CZYTANIE STAJĄ SIĘ CHOROBAMI

Każdy sezon przewiduje kilka takich „kampanii"; w roku 1950/51 dwie szczególnie uderzają swoją „knockowością": organizacja właściwego sposobu spania (bo podobno nawet ten, co dziesięć godzin bez przerwy smacznie chrapie, marnuje wiele energii i nerwów na niepotrzebne ruchy, zmiany pozycji, półsen niecałkowitej wartości itd. — walczą z tą klęską pigułki i aparaty), oraz tzw. „bibliofagia", mania czytania, o której Dr H. Martin opublikował cykl artykułów w ilustrowanych magazynach. Przytacza tam przykłady kogoś, kto kupuje umyślnie żywność na straganach, gdzie zawijają ją w kawałki druków, i potem po powrocie do domu czyta do ostatniego słowa wszystkie uzyskane w ten sposób świstki gazet. Inny spędza w ubikacji długie godziny, pogrążony w lekturze urywków wbitych na gwóźdź w ścianie; pewien lekarz czytał książki po parę wyrazów, korzystając z czasu oczekiwania na rozebranie się i powtórne ubranie pacjenta. To drukożerstwo, zdaniem dr Martina, świadczy o odchyleniu umysłowym, zdradzającym tendencję do ucieczki od rzeczywistości. Dla Europejczyka wygląda niepokojąco, że ów specjalista nie podaje sposobu na odróżnienie Amerykanina chorego na „bibliofagię" od Amerykanina po prostu czytającego książki, i trudno się opędzić wspomnieniu zdania Sinclair Lewisa o specjalnej formie analfabetyzmu, rozwijającego się wśród jego współrodaków, którzy „znają alfabet, ale tylko ten, którym pisane są afisze i teksty w kinach". Jeśli pesymizm autora „Babitta", datujący się sprzed lat dwudziestu, był uzasadniony, być może dziś już widok obywatela USA zagłębionego w książkach może obudzić niepokój o jego zdrowie.

W dziedzinie księgarskiej charakterystycznym jest, że utwory których sprzedaje się najwięcej (tzw. „best-seller", „rekord" nakładu w ciągu roku), nigdy nie są dziełami literatury, ale podręcznikami praktycznymi — właśnie medycznymi i należą do gatunku „afisz w broszurze". Krzykliwy tytuł, jaskrawa okładka, sensacyjne nagłówki rozdziałów, treść zaś rozwijająca wskazówkę praktyczną plakatu: „co należy kupić, jak użyć, co z tego za pożytek" — oto główne cechy tego rodzaju wydawniczego, który ze ścian zarezerwowanych dla reklam przeszedł do biblioteki Amerykanina.

TEKST JAK Z REKLAMY MYDŁA STAJE SIĘ TYTUŁEM „DZIEŁA" MEDYCZNEGO

Wszystkie te cechy nosi „bestseller" za rok ostatni, dzieło profesora Gayelord Hausera, specjalisty od dietetyki, czyli wiedzy o właściwym jedzeniu. „LIVE LONGER — LIVE YOUNGER" — („ŻYJ DŁUŻEJ — ZACHOWAJ MŁODOŚĆ") — głosi tytuł, z którego wydział propagandy fabryki mydła „Palmolive" nie byłby niezadowolony. „Pięć lat życia więcej da Ci metoda pięciu cudownych pokarmów (five aliment-miracle) profesora Hausera!" — czytamy wielkimi literami na następnej stronie. Od tej chwili widmo Knocka nie opuści nas ani na chwilę i akcję jego amerykańskiego sobowtóra możemy obserwować prawie w tej kolejności, w jakiej następowały po sobie sceny komedii. Knock „ofiarował" swym pacjentom pierwszą wizytę bezpłatną — dr Hauser daje im kawał życia więcej. Pierwsze kroki Knocka w miasteczku skierowały go do nauczyciela, któremu zlecił wykłady „higieny" — dr Hauser rozpoczyna również od objaśnienia grożącego nam niebezpieczeństwa. Tłuszcz — pisze profesor — skraca nam życie, postarza nas i zatruwa organizm. Obowiązkiem każdego jest uwolnić się od zbędnych toksyn, odkładających się w tkankach i obciążających ciało, co pozbawia je sprężystości. Diety jednakże nie są wskazane, bo choć usuwają nadmiar tłuszczu, jednak osłabiają nas w tym samym czasie. Trzeba wyselekcjonować pokarmy pełnowartościowe, nie wytwarzające szkodliwych nadmiarów. Tu dr Hauser wymienia pięć produktów, „z których jakikolwiek bądź, spożywany codziennie, przysporzy wam pięć lat życia": (wielkimi literami) DROŻDŻE — MLEKO W PROSZKU ODTŁUSZCZONE — KIEŁKI ZBOŻOWE — JOGURT — MELASA. Autor szczegółowo tłumaczy wartość tych składników, obfitujących w witaminę B, która jego zdaniem ma decydujące znaczenie w odżywianiu, objaśnia dlaczego mleko w proszku, i dlaczego odtłuszczone itd. itd.

Knock, jak pamiętamy, udał się następnie do aptekarza. Po sukcesie książki dr Hausera okazało się, że nie ma w handlu dosyć melasy, mleko w proszku jest, ale tłuste, drożdże zaś tylko wypiekowe — wilgotne, czego doktor nie zaleca, itd. Wobec tego dr Hauser widział się zmuszonym zacząć produkcję pięciu cudów żywnościowych, i ukazały się puszki ze znakiem w kształcie litery V (marka profesora), portretem i podpisem dr Hausera oraz zastrzeżeniem: „KIEŁKI ZBOŻOWE" — jedyne zatwierdzone przez doktora H" (we francuskiej edycji to brzmi: „GERMES DE BLE — Les seuls approuvés par Dr Gayelord Hauser!").

W krótkim czasie Ameryka poddała się dyktaturze żywnościowej Hausera. Jak to wygląda, można się było przekonać potem we Francji. Przy Champs-Elysées otwarto restaurację „podającą wyłącznie menu według diet prof. Hausera". Trzy dzienniki paryskie i jeden tygodnik dla kobiet rezerwują sobie prawo „codziennego przepisu dr H" w specjalnej rubryce i zamieszczają stałe „porady żywnościowe dla naszych czytelników". Nie ma dnia, by prasa nie przyniosła jakiegoś zdarzenia z kampanii profesora, ogarniającej cały świat! Gwiazdy filmowe są na jego diecie i ustala on dla nich specjalne potrawy w związku z ich temperamentem i potrzebami. W dniu 3 czerwca (1951) w całej Anglii nie można było dostać kawałka wątroby, bo poprzedniego dnia ukazał się artykuł Hausera: „60 proc. kobiet i 40 proc. dzieci czują się źle z braku witaminy B: by temu zapobiec, jedzcie wątróbkę!" 4 czerwca: dr Colvert, lekarz akredytowany przy Kongresie Stanów Zjednoczonych, potępia Hausera: „Wielu posłów choruje ostatnio, ponieważ spożyli za dużo utartej marchwi na surowo, według wskazówek profesora!" — itd. itd.

DR HAUSER — CONTRA PARYŻ

W tym samym jednak Paryżu, mistrz współczesnej dietetyki napotkał, po raz pierwszy w ciągu swej kariery, na niespodziewane trudności, których przyczyny warte są oddzielnego studium socjologicznego. Opór ten uzmysławia nam różnice, dzielące dwie koncepcje cywilizacji. Kłopoty dr Hausera raz jeszcze potwierdzają doświadczenie, wyniesione przez majstrów propagandy amerykańskiej ze sławetnej kampanii Coca-coli.

Okazało się mianowicie, że środki przekonywania klientów, od lat praktykowane w USA, wymijają nowego odbiorcę we Francji i we Włoszech. Niewątpliwie, cywilizacja USA nie była przygotowana do pochłaniania rynków, jak np. przemysł brytyjski z epoki Wiktorii, od razu uwzględniający charakter nowych nabywców, zdobywanych w koloniach. W rezultacie kryzysu, który stał się dla USA zasadniczym nieszczęściem narodowym, jakim np. w Polsce byłaby „utrata niepodległości", od r. 1932 polityka amerykańska, dotychczas anty-kolonialna (jeszcze Roosevelt potępiał „etykę imperialną brytyjską, pochodzącą z wyzysku") oraz separatystyczna (USA wystąpiły z Ligi Narodów po 1918, by się nie mieszać do spraw poza-amerykańskich), obróciła się tak raptownie, jak jeszcze nie bywało w historii, i w ciągu paru lat zaledwie Stany Zjednoczone stały się mocarstwem interwencyjnym, gotowym zbrojnie postarać się o nabywców dla swego przemysłu.

Ta wolta — rezultat nieuchronnych konieczności rozwojowych kapitalizmu — zaskoczyła samych Amerykan, i dziś jesteśmy świadkami ciekawego fenomenu — jak cywilizacja, od setki lat zorganizowana na innej zasadzie, przestawia się na typ imperialistyczny.

Jednakże reklama — fakt osobliwy — za tym procesem nie nadąża. A przecież sztuka reklamy rozwinęła się w Ameryce w imponującą wiedzę, i gdy czytamy np. w 800-stronicowym podręczniku Vargasa rozdział o postaciach kobiecych na afiszach, zastanawiamy się, czy portrety dam renesansowych Pollaiuola, Rafaela i Gozzolego poddane były w jakimś studium historyka sztuki, podobnie przenikliwej analizie! — Nigdy zapewne erotyzm nie został tak gruntownie zorganizowany i wyzyskany „naukowo"; kształt piersi, gest, haftki i guziczki ustalono na podstawie żmudnych ankiet, jako najdoskonalej odpowiadające temu, czego oczekuje klient owych druków reklamowych. Toteż powiedziano że „pin-up girl" („dziewczyna do przypięcia" pineską, pół-pornograficzny rysunek, niezbędny w ekwipunku żołnierza amerykańskiego), specjalnie wystudiowana i rozpowszechniona w milionach egzemplarzy przez specjalny wydział armii „Yank-print", „przyczyniła się do wygrania wojny w tym samym stopniu co Roosevelt".

(Dokończenie w jednym z następnych numerów).

U PRZYJACIÓŁ

AKTORZY POMAGAJĄ DRAMATURGOM W PRZEZWYCIĘŻENIU BŁĘDÓW

W toczącej się od wielu miesięcy w Związku Radzieckim ożywionej dyskusji o dramaturgii wypowiadają się dramatopisarze i krytycy, reżyserzy i aktorzy, działacze kulturalno-oświatowi i widzowie. Szczególne zainteresowanie wzbudzają wypowiedzi aktorów, którzy w długim łańcuchu twórców przedstawienia teatralnego mają najbardziej bezpośredni kontakt z odbiorcami sztuki scenicznej — z widzami. Toteż na barki aktora spada odpowiedzialne zadanie sprawdzenia wartości utworu dramatycznego w życiu scenicznym.

Znany aktor W. Chochriakow pisał niedawno w artykule pt. *„Próba wytrzymałości"* („Litieraturnaja Gazieta" Nr 83 z lipca br.), że pracę aktora można porównać z funkcją badacza konstrukcji samolotu, lub lotnika - „oblatywacza". *„Dla każdego z nas* — mówi aktor — *każda nowa rola stanowi wielki i doniosły etap w życiu twórczym, wiąże się z kolosalnym ryzykiem, albowiem nasz „lot doświadczalny" odbywa się na oczach olbrzymiej widowni, ba! — razem z nią. Dlatego tak nas obchodzi i niepokoi praca dramaturgów."*

Na podstawie analizy kilku swoich ról (Wierszynina w klasycznej sztuce radzieckiej W. Iwanowa „Pociąg pancerny 14—69", Rubcowa — w „Zielonej ulicy" A. Surowa i in.), autor artykułu doszedł do wniosku, że najsłabsze są utwory dramatyczne, w których... *„wszystko niby jest trafne, a grać w nich nie ma co". „Sztukę* — wywodzi Chochriakow — *trzeba dostrzec w realnym życiu: należy wniknąć w takie czy inne zjawisko społeczne, pojąć je, wydobyć z niego istotną treść — zachodzące w nich sprzeczności i konflikty — by wcielić je w pełnię życiowego autentyzmu".*

„Dramaturgia winna pokazywać życiowe konflikty, bez tego nie ma dramaturgii" — czytaliśmy w przełomowym artykule „Prawdy" z 7.IV. br. Zagadnieniem konfliktu dramatycznego zajął się szczegółowo wybitny aktor, odtwórca roli Stalina na scenie i na ekranie — P. Dikij w artykule *„Wielopostaciowość życia a teatr"* (Nr 58 „Litieraturnej Gaziety"). Zdaniem autora artykułu zwolennicy osławionej „teorii bezkonfliktowej dramaturgii"... *„talmudycznie perorowali o „typowym" i „nietypowym", gwałtownie żonglowali straszakiem „oczerniania naszej rzeczywistości", kompetentnie oświadczali, że „w życiu tak nie bywa" — aż powoli naszej scenie w znacznej mierze odebrano bezpośrednie i naturalne prawo — na żarliwość słowa, na życiowo prawdziwy konflikt i na celność teatralnej metody twórczej".*

„Teoria bezkonfliktowości" zrodziła też szablonowe, sielankowe finały, które zaciążyły na dramaturgii *„wnosząc do niej tyle martwego, sztucznego elementu".* Bohaterowie utworów dramatycznych popełniają oczywiście błedy: rzadko kiedy w sztuce — wywodzi Dikij — nie myli się ani jeden z bohaterów. Najdziwniejsze jest jednak to, że pod koniec sztuki, *„przed kurtyną"* wszyscy naprawiają swoje błędy, każdy okupuje swoją winę i z „niemal dobrego" staje się „dobrym".

To właśnie niezgodne jest z prawdą życiową, gdyż w rzeczywistości nie każdy błąd można tak łatwo naprawić, najtrudniej zaś wyplenić wady i przywary głęboko zakorzenione...

Dikij na przykładach finału sztuki Kornijczuka „Front" (grał w niej rolę gen. Gorłowa), sztuki Sztejna „Sąd honorowy" i „bezkonfliktowej" sztuki Wirty „Chleb nasz powszedni" udowadnia słuszność tej tezy.

Dalej Dikij pisze: *„Konwencjonalnie negatywne postacie w wielu naszych sztukach tak samo przyznają się do błędów w finale, ale bynajmniej nie zawsze taka skrucha budzi w widzu bodaj minimalne przeświadczenie, że nie powtórzą swoich błędów, że nie będą znowu — jak mówi jedna z bohaterek Ostrowskiego — grzeszyć i kajać się, grzeszyć i kajać się..."* Finał zależy od wewnętrznego rozwoju postaci, od prawdy psychologicznej w niej zawartej. Widz nabiera przekonania do prawdziwości i szczerości postępowania postaci scenicznych, jeżeli postępowanie to zarówno w wypadku samokrytycznego przyznania się do błędów, jak i w wypadku uporczywego trwania w błędzie (wypływa z istoty danego charakteru ludzkiego. Nieprzestrzeganie tej psychologicznej autonomii postaci dramatu wiedzie autora do nieprawdy, do schematyzmu.

Z niecodziennego punktu widzenia to samo zagadnienie omówiła aktorka komediowa N. Słonowa w artykule pt. „Dlaczego nudzą się na widowni?" („Litieraturnaja Gazieta" Nr 79 52). *„Osiągać, błądzić, opierać się, bronić, ocalać, walczyć — oto czego chce się gdy się znajduje na scenie, nie zaś... opowiadać nudnie w jednym wypadku, że twoja bohaterka jest dobra, w innym — że zła"* — pisze dowcipnie Słonowa. *Jak to niezręcznie — przeobrażać się w ostatnim akcie, gdy jedynym motywem do tego jest życzenie autora, który zadecydował, by wszystkich uczynić dobrymi".*

„Niektórzy autorzy — wyraża żal Słonowa — *w obawie o autorytet pozytywnego bohatera — uważają za hańbiące obdarzenie go jakimkolwiek rysem, który mógłby wywołać bodaj blady — ale zawsze uśmieszek. Chodzi więc taki dwuwymiarowy, bezbarwny bohater, a swoimi losami ani nie porusza umysłu, ani nie targa sercem widza".*

Znany aktor teatralny i filmowy L. Swierdlin w artykule *„Dramaturg filmowy a aktor"* („Iskusstwo Kino" Nr 5 52) pisze: *„Dramaturg filmowy, szczerze pragnący przekazać widzowi ideę swojego utworu, pragnący wzruszyć go wyrazistymi postaciami, winien pomyśleć o nas, aktorach. Każdy bład, każda nieprzemyślana linia scenariusza uderza boleśnie w aktora, a zatem wywołuje niezadowolenie widza".*

Odtwórca roli Woropajewa w sztuce „Szczęście" (autorzy sztuki: Pawlenko i Radzinski) I. Sołowjew omawia odtwarzanie na scenie postaci bohaterów sztuk współczesnych: We współczesnych dramatach zdarzają się bardzo często słabe monologi. A przecież monologi są zazwyczaj momentami kulminacyjnymi w dramacie i w nich powinna się ujawniać indywidualność aktora. („Współczesny aktor na scenie" — „Litieraturnaja Gazieta" Nr 69 52). Z ról wykonywanych przez Sołowiowa najlepiej ocenia on postać Woropajewa. Dlaczego? *„W postaci Woropajewa* — odpowiada Sołowiow — *jest ruchliwość i aktywność, to determinuje dobre samopoczucie aktora, to snuje niewidoczny a niezbędny związek aktora z widownią".*

Na koniec zacytować warto słowa znanego w Polsce z zeszłorocznych występów Leningradzkiego Teatru Dramatycznego im. Puszkina — K. Skorobogatowa: *„Mowa sceniczna* — pisze Skorobogatow — *winna nie tylko odzwierciedlać nowe, to co powstało w kulturze radzieckiej, ale jednocześnie stać się swoistą akademią słowa, w której wzbogacałyby swój język ojczysty miliony widzów uczęszczających do teatru".*

Sp.

PAUL HOGARTH

AKADEMIA KRÓLEWSKA

(Korespondencja własna z Wielkiej Brytanii)

Królewska Akademia Sztuk, założona w r. 1768, jest najstarszym stowarzyszeniem artystów w Wielkiej Brytanii. Jej najważniejszą czynnością jest organizowanie dorocznej letniej wystawy, otwieranej w początkach maja. Każdego roku tysiące obrazów, rysunków, sztychów, modeli architektonicznych i rzeźb zapełnia olbrzymie suteryny akademii; każdego roku około 5.000 artystów wystawia przeciętnie 10.000 prac, z których tylko 1.500 jest zawieszanych. Przy transakcjach dokonywanych na wystawie nie ma żadnych obciążeń i całą cenę za sprzedany obraz otrzymuje artysta. W obecnym, trudnym — jeśli chodzi o warunki bytu artystów — czasie w Wielkiej Brytanii takie warunki nie są do zignorowania, pomimo nie nadzwyczajnej reputacji Akademii. W czasie ostatnich trzydziestu lat Akademia spotykała się ze wszystkich stron z licznymi krytykami. Czołowi postępowi artyści nie mieli z nią nigdy kontaktów, a jeśli nawet przyjmowali członkostwo, wkrótce rezygnowali z niego, protestując tym przeciwko absurdalnej i zacofanej polityce kierownictwa. Mimo to letnia wystawa jest pierwszorzędnej wagi wydarzeniem w angielskim życiu kulturalnym. Każdego roku przeciętnie 200.000 ludzi odwiedza wystawę, która pozostaje otwarta od maja do sierpnia.

Wpływ Akademii w czasie ostatnich lat trzydziestu, tak jak i innych burżuazyjnych „salonów" w całej Europie zachodniej, znacznie osłabł. Przyczyną tego upadku była chociażby zmiana upodobań burżuazji, tych oficjalnych protektorów, którzy jako dyrektorzy państwowych czy prowincjonalnych muzeów lub galerii wykupywali olbrzymie o historycznej tematyce płótna, charakterystyczne dla Akademii Sztuk Pięknych ze środkowego i późnego okresu dziewiętnastego stulecia. Potem sztuka w służbie burżuazji przybrała nowe formy. Przyszła moda na abstrakcję.

Okres kolonialnego imperium przyniósł klasie kupców i fabrykantów wielki dobrobyt. Protektorat tej parweniuszowskiej klasy królów mydła, magnatów bawełny i gazetowych baronów obniżył ogólną jakość sztuki. Od tego czasu bardziej wrażliwi twórczy artyści pozostawali poza Akademią, pracując w biedzie i zapomnieniu.

Po wojnie 1914—1918 r. nastąpiły nowe zmiany. Duże osłabienie finansowych i politycznych sił brytyjskiego imperializmu wywarło bezpośredni skutek nawet na ilość prac w dziedzinie portretów i rzeźb. Aby utrzymać regularny dopływ zyskownych zamówień, portreciści zaczęli po raz pierwszy patrzeć w stronę Ameryki. Obrazy historyczne znikły na zawsze z przestronnych galerii Akademii.

Zmiana pojęć estetycznych, łącznie ze zmniejszonymi siłami nabywczymi burżuazji, wolno powodowały zmianę protektoratu nad Akademią Sztuk. Do Akademi zaproszeni zostali niezależni artyści, tacy jak: Sickert, Augustus John a później Stanley Spencer.

Rozkład postępował jednak nadal i Akademia przemieniła się w końcu w popularny rynek, na którym większość towaru jest bezwartościowa i dla kolekcjonerów, i dla burżuazyjnych protektorów.

Po ostatniej wojnie światowej — rok po roku tuziny obrazów przedstawiały nam na letniej wystawie życie eleganckich salonów i to, co się w nich dzieje — od promieni słonecznych, igrających na dywanie, do grup nimfowatych postaci, czeszących gremialnie włosy. (Temat salonu świadczy tylko o nieszczerości i intelektualnym bankructwie artysty). Obok tych utworów „epicznych" na temat życia burżuazji, znajdujemy portrety: od malowanych przez modnych malarzy za 2 tys. funtów jeden, aż do mniejszych płócien, wykonanych przez biednych, nieznanych artystów. Anglia znajduje się w powodzi portretów, obrazów kwiatów, martwych natur i aktów kobiecych.

A jednak walka trwa. Grupa postępowych artystów, którzy mogą być określeni jako lewe skrzydło Akademii, stara się wprowadzić nowe tematy i idee. Reprezentują oni jedyną zorganizowaną opozycję wobec starego zwyczaju wybierania przez reakcyjnych członków Akademii „protektorów" bez względu na ich zasługi artystyczne. (Do ich „zasług" należy zaliczyć np. odmowę dopuszczenia do wystawy postępowego malarza i bojownika o pokój, Johna Mintona).

Do grupy postępowych członków Akademii, realistów i socjalistycznych realistów, należą m. in.: Ruskin Spear, Robert Buhler, James Fitton, Stanley Spencer, Frank Dobson, R. O. Dunlop i Rodrigo Moynihan. Są oni popierani przez nie-członków Akademii, jak: Carel Weigt, James Boswell, John Minton, Paul Hogarth, Percy Horton i S. R. Badmin. Artyści ci wystawiają prace, których głównym tematem jest codzienne życie ludzi pracy w Wielkiej Brytanii, życie wsi i ośrodków przemysłowych.

Akademia jest w stanie rozkładu, ale wewnątrz jej dostojnych murów zostało zasiane trwałe ziarno odrodzenia. Jeśli postępowe, realistyczne malarstwo, zareprezentowane na tegorocznej wystawie będzie kontynuowane, to walka przeciwko martwemu naturalizmowi może zadać poważny cios formalizmowi.

Paul Hogarth

Z TYGODNIA

Z KRAJU

WYSTAWA SZTUKI RUMUŃSKIEJ REPUBLIKI LUDOWEJ

została uroczyście otwarta 14 bm. w Gmachu Zachęty. Otwarcia wystawy dokonał wicepremier T. Gede. Obejmuje ona 100 obrazów i 36 rzeźb współczesnych artystów rumuńskich oraz rysunki, grafikę i karykatury. W dwóch salach, poświęconych sztuce ludowej, wystawiono m. in. stroje rumuńskie, ceramikę i wyroby z drzewa.

POMNIK STEFANA JARACZA

dłuta St. Sikory stanął na grobie artysty w Alei Zasłużonych na Powązkach. Dnia 11 bm., w siódmą rocznicę śmierci Jaracza, liczne delegacje złożyły u stóp pomnika wieńce. W imieniu aktorów polskich J. Świderski, przedstawiciel prezydium SPATIF, złożył hołd wielkiemu artyście i bojownikowi o postępowy teatr realistyczny.

PRACE NAUKOWE NAD POCZĄTKAMI PAŃSTWA POLSKIEGO

Ciekawe materiały, dotyczące odkryć archeologicznych na górze Lecha w Gnieźnie, w Biskupinie, Gdańsku i Kruszwicy — złożyły się na I tom studiów wczesnohistorycznych, który ukazał się niedawno nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. W jednym z następnych tomów znajdą się nieznane dotąd w Polsce teksty najwcześniejszych źródeł arabskich i staroperskich, dotyczących Polski i Słowiańszczyzny. Dzieło to obejmie przedruki i tłumaczenia rękopisów z bibliotek w Rzymie, Konstantynopolu, Leningradzie i Paryżu. Materiały te zbadał wybitny orientalista, prof. Lewicki.

KOMPLETY INSTRUMENTÓW MUZYCZNYCH DLA KAPEL LUDOWYCH

akordeony i inne instrumenty oraz komplety nut przekazano 9 bm. w Ministerstwie Kultury i Sztuki przedstawicielom 43 przodujących świetlic wiejskich. Do chwili obecnej Ministerstwo Kultury i Sztuki i Rady Narodowe zaopiekowały się 602 świetlicami wiejskimi.

PIERWSZE PEŁNE WYDANIE KRYTYCZNE PAMIĘTNIKÓW PASKA

w opracowaniu W. Czaplińskiego wydał Zakład Narodowy im. Ossolińskich.

WIELKA WYSTAWA ARCHITEKTURY

zostanie zorganizowana w Zachęcie w końcu września br. W listopadzie nastąpi otwarcie III Ogólnopolskiej Wystawy Plastyki.

ZA GRANICĄ

PABLO NERUDA POWRÓCIŁ DO CHILE

po 4 latach wygnania. Neruda oświadczył, że zamierza wraz z narodem chilijskim kontynuować walkę o wolność i niezależność ojczyzny, o pokój i przyjaźń między narodami.

„KOREA WALCZY!"

— pod tym tytułem ukazał się w Moskwie w języku rosyjskim zbiór nowel, reportaży i opowiadań pisarzy koreańskich. Autorem wstępu do książki jest wybitny pisarz radziecki A. Czakowski.

POLSKĄ OPERĄ „BUNT ŻAKÓW" („Die Scholaren von Krakow") rozpoczyna nowy sezon Państwowa Opera w Dreźnie.

WIELKĄ BIBLIOTEKĘ I CZYTELNIĘ

otwarto niedawno w Szanghaju. Czytelnia składa się z sześciu ogromnych sal — korzystać z niej może jednocześnie 1.200 osób. Nowa biblioteka jest jedną z najpiękniejszych i największych w Chinach. Liczy ona ponad 700 tys. tomów książek.

KSIĄŻKA WICEMINISTRA W. SOKORSKIEGO

„Sztuka w walce o socjalizm" — ukazała się w Pradze w języku czeskim. Przekładu dokonał wybitny poeta i tłumacz — Erich Sojka.

MARIA TWAROWSKA

Dwie wystawy dzieł L. Wyczółkowskiego



W roku 1937 organizowano w Krakowie. Warszawie, Poznaniu i Bydgoszczy wystawy pośmiertne dzieł Leona Wyczółkowskiego. Przypadło mi wówczas w udziale urządzić wystawę dzieł malarskich artysty w Warszawie. Wystawa Warszawska była przeciętna dla wystaw tego rodzaju w okresie międzywojennym. Zadanie zasadnicze stanowiło zgromadzenie jak największej ilości dzieł artysty głównie z terenu warszawskiego, który wówczas był w nie bogato wyposażony i jedynym kryterium obowiązującym było kryterium autentyczności.

Decyzja skorzystania z okazji setnej rocznicy urodzin artysty dla zorganizowania w roku bieżącym aż czterech wystaw jego dzieł, z których dwie już oglądaliśmy w Bydgoszczy i Krakowie, a jeszcze dwie mają być otwarte w Poznaniu i Warszawie, dowodzi z jednej strony szacunku dla tradycji polskiego malarstwa, a z drugiej — że dzieła Wyczółkowskiego są nam dziś potrzebne, że wyznaczono im rolę w dziele kształtowania współczesnego malarstwa.

Ale oto stajemy wobec faktu: długoletnia, rozwijana w przeciągu z górą lat 50-u, działalność artystyczna Wyczółkowskiego posiada wartość nierówną — obok dzieł, stanowiących w czasie ich powstania pozycje postępowe, śmiałe i niezależne — obok arcydzieł, powstawały rzeczy oparte na błędnych założeniach albo mierne i banalne. Jeżeli nie zdobędziemy się dziś na wyeliminowanie tych ostatnich z wystaw, gotowe nam one przesłonić. to cenne, o czym nam nie tylko zapomnieć nie wolno, ale to co powinniśmy sprzęgnąć z naszymi dążeniami. Wyczółkowski nie był „z jednej bryły" i działalność jego nie była jednotorowa. Sam był świadomy różnej wartości swoich osiągnięć, wielu spośród swoich obrazów nie chciał wystawiać, bo malował je przystosowując się do gustów tych ludzi, którym je musiał sprzedawać, aby żyć. Z całości swego dorobku rad byłby zaledwie 1/3 przekazać potomności, (mówią o tym relacje z rozmów z przyjaciółmi).

Pod tym kątem widzenia dotychczasowe dwie wystawy tegoroczne nie wypełniły wystarczająco podstawowego zadania-selekcji.

Wystawa bydgoska, otwarta dnia 16 kwietnia br. (czynna do września) udostępni publiczności bogate zbiory w muzeum im. L. Wyczółkowskiego. Od czasu pierwszej wystawy, z jaką sam artysta po osiedleniu się w Gościeradzu wystąpił w Bydgoszczy w r. 1924, muzeum zaczęło kolekcjonować jego dzieła. Dzięki nabytkom oraz darom samego artysty w r. 1934 mogła powstać sala Wyczółkowskiego obejmująca około 30 jego prac. Po śmierci artysty przybyło w r. 1937 z daru Franciszki Wyczółkowskiej ponad 800 proc. Wyczółkowskiego, obrazów skończonych i szkiców, a zarazem urządzenie jego pracowni, narzędzia, zarysowane kamienie litograficzne, wszystko to, co widzom czyniło postać artysty szczególnie bliską.

Z tych bydgoskich zasobów powstała tegoroczna wystawa w powojennej już siedzibie muzeum, noszącego obecnie nazwę Muzeum im. L. Wyczółkowskiego. Szczerość głębokiego sentymentu, z jakim potraktowano tu spuściznę Wyczółkowskiego budzi szacunek w widzu. Ale nie podobna oprzeć się przekonaniu, że byłoby dużo lepiej, gdyby widz od podziwu dla arcydzieł nie musiał bezpośrednio przechodzić do „rodzinnej wyrozumiałości" wobec eksponatów, których sam artysta na pewno nie zakwalifikowałby na wystawę. Wystawa, taka jaka jest, koniecznie wymaga oprowadzającego i komentującego znawcy.

Nas obchodzą szczególnie arcydzieła, których — należy to mocno podkreślić — jest na tej wystawie wiele, jedynych w swoim rodzaju oszałamiających maestrią odtworzenia poznanej i emocjonalnie przeżytej prawdy. Są tu rozmaite dzieła wysokiej klasy od obrazów tuszem lub tuszem i kredą, jak jeden i drugi „Cis z Wierzchlasu", „Świerk w słońcu" „Aleja w parku gościeradzkim". „Kościół w Świeciu", „Kościół św Jana w Toruniu" i in., aż po zwiewne akwarele — małe krajobrazy polne i rzeczne, dziewanny na polu i zioła polne. Ponad wszystko wybija się jednak — grafika. Grafiki z okresu krakowskiego posiada wystawa stosunkowo niewiele. Są tu dwie niepełne teki: Ukraińska (12 plansz z 19-u, mylnie datowana w podpisie: powinien być r. 1912 zamiast 1914—1915) i Lubelska (11 plansz z 17-u) oraz poszczególne plansze z tek Białowiejskiej, Legionowskiej, Mariackiej

Wobec grafiki Wyczółkowskiego ogarnia niepokój o jej trwałość. Tyle plansz rozeszło się wśród ludzi i tyle zginęło w czasie wojny, żadna instytucja u nas nie posiada zbioru kompletnego lub quasikompletnego. Należy wołać o opracowanie tej spuścizny i o reprodukcję. Opracowanie naukowe wraz z bogatym zbiorem dobrych reprodukcji przyczyniłoby się niewątpliwie do lepszego zrozumienia i należytej oceny wysokiej wartości tej grafiki.

Gdy chodzi o spuściznę Wyczółkowskiego Kraków i Bydgoszcz dopełniają się.

Kierownictwo wystawy krakowskiej sięgnęło do zbioru warszawskiego dla dopełnienia sali wczesnej twórczości — zwracał na wystawie uwagę warszawski realistyczny portret mężczyzny z roku 1880 — ale sięgnęło się również do zasobów innych muzeów krajowych. Rzecz zrozumiała, że nie dało się sprowadzić spoza Krakowa pasteli, które osypywałyby się w drodze. Ale Muzeum Narodowe w Krakowie samo posiada bogaty zbiór dzieł malarskich i najbogatszy w Polsce zbiór grafiki Wyczółkowskiego z okresu krakowskiego (zbiór F. Jasieńskiego). A poza tym, mimo częściowej rozprzedaży w czasie wojny, jakże bogate są jeszcze krakowskie zbiory prywatne. Ale tu społeczeństwo spotkał zawód. Bo wielu właścicieli obrazów Wyczółkowskiego w Krakowie nie zgodziło się na oddanie na wystawę posiadanych arcydzieł. Trzeba napiętnować ten fakt, gdyż sprawił on, że przeciętny widz. słusznie traktując Kraków jako skarbiec sztuki, urabiał sobie z wystawy opinię o malarstwie Wyczółkowskiego mniej świetną, niż na to zasługuje jego twórczość. I do tej opinii w znacznej mierze przyczynił się jeszcze brak selekcji. Jeśli bowiem zgromadzony materiał tylko w części okazał się pierwszorzędny, należało wystawić tylko tę część. Nie trzeba było pokazywać przynajmniej tych pasteli, które już się rażąco osypały. np. portret Sokołowskiego, także scen buduarowych, symbolicznych druidów skamieniałych, szeregu portretów słabych i konwencjonalnych, zwłaszcza kobiecych, znacznie gorszej z dwóch wersji portretu Rydygiera, wielkiej „Gry w krokieta", stanowiącej jedną ze słabszych kart w malarstwie Wyczółkowskiego, całego szeregu „kwiatów" mieszczańsko-banalnych. Po dokonaniu śmiałego wyboru, niewątpliwie zajaśniałyby pełnym blaskiem pozostałe dzieła. wśród których na pierwszy plan wysuwają się obrazy ukraińskie, wspólny portret Wyczółkowskiego z Laszczką i portret Z. Cybulskiej z r. 1903. krajobrazy pastelowe, pejzaże tatrzańskie.

Kilka krótkich listów Wyczółkowskiego wystawionych w gablocie (artysta nie był człowiekiem pióra) odsłania entuzjazm a zarazem krytycyzm względem siebie i zapamiętanie, z jakim Wyczółkowski pracował, gdy chciał wydobyć to co najlepsze.

Poważnym błędem wystawy krakowskiej jest, jak się wydaje—położenie silniejszego nacisku na malarstwo Wyczółkowskiego niż na jego grafikę. Wiemy, że stosunek artysty do tych dwóch dziedzin jego twórczości był odwrotny. I niewątpliwie Wyczółkowski — grafik przerasta Wyczółkowskiego — malarza. Z całego zbioru krakowskiego Muzeum Narodowego pokazano na wystawie 45 plansz. zbyt dużo przy tym poświęcając uwagi pierwszym próbom. Zresztą artysta komponował nie tylko poszczególne plansze, ale i teki — teka w swej całości stanowi tu jakby nadrzędne dzieło sztuki, oparte bądź na swoistej rytmice. bądź na zadaniu wielostronnego wniknięcia w pewien temat, stworzenia grupy tematycznej.

Uwagi krytyczne bynajmniej nie przekreślają faktu: obie omawiane tu wystawy Wyczółkowskiego przysporzyły bardzo licznym widzom i wśród nich niżej podpisanej niemało korzyści.

Zmieniło się życie a z nim tematy sztuki. służącej życiu, muszą zmieniać się też środki wyrazu artystycznego. Dziś — z najlepszych dzieł Wyczółkowskiego możemy uczyć się czujności, żarliwej uwagi w stosunku do odtwarzanej rzeczywistości. śmiałego, twórczego i odkrywczego korzystania ze środków artystycznych w służbie odtwarzanej rzeczywistości. a tą rzeczywistością dla Wyczółkowskiego były: ojczysta przyroda, lud i architektura.

Maria Twarowska

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul Wiejska 14. I piętro tel 4-01-80 wewn 95 oraz bezpośredni 7-36 23 Adres administracji: W-wa ul Wiejska 12 tel 7-52-50. Wydaje RSW „Prasa".

Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch" Oddz w Warszawie ul Srebrna 12 tel 804-20 do 25 Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48.— Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłosz. RSW Prasa W-wa, Poznańska 38, konto PKO 1-5589/111, tel. 7-38-05.

Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-2512